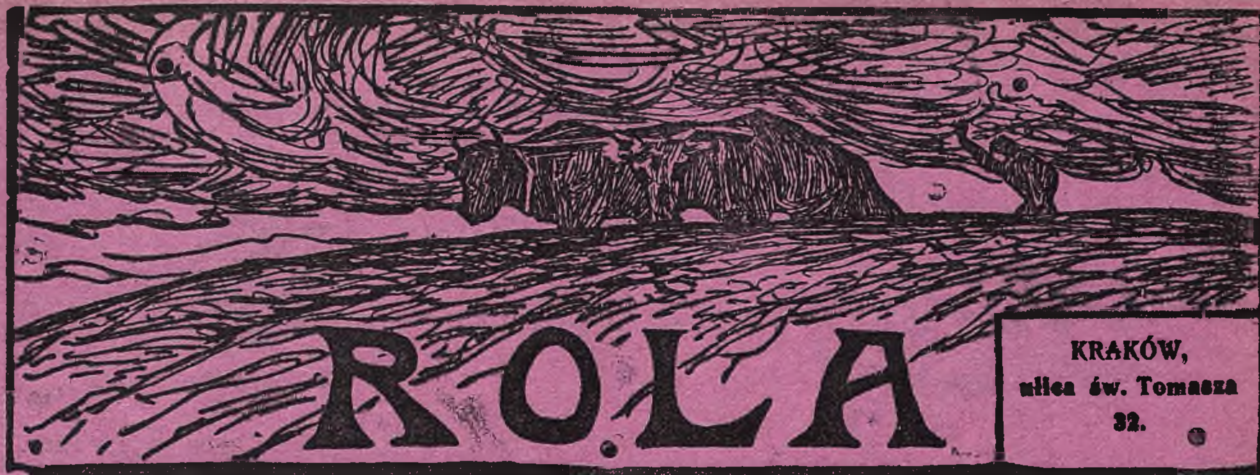
Numer 34. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 21 Sierpnia 1927



KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Fałszywy pieniądz.

Żona: Nie rozumiem, Donaldzie, jak możesz dać szoferowi pięć dolarów na piwo?

Mąż: Ależ, Marjo, ten pieniądz był przecież fałszywy.

Żona: Mój kochany, 1-dolarówka równieżby chyba wystarczyła?



On i ona.

Rzecz dzieje się w pierwszych chwilach uniesień miłosnych.

— Sprzedałbyś mnie?

— Nigdy w życiu.

— Za tysiąc złotych?

— Ani rusz!

— Za sto tysięcy?

— Nie mówmy o tem.

— Za miljon?

On zrywa się z miejsca niespokojny, pytając: — Gdzie jest taki głupiec, który to daje?



Kura i zęby.

— Marysiu, po cezm odróżniasz starą kurę od młodej.

— Po zębach.

— Kura przecie nie ma zębów.

— Ale ja mam, więc zjadając kurę wiem, czy jest młoda czy stara.



W sądzie.

— Czy pan żonaty?

— O tak, panie sędzio. Chyba ze trzy razy.

— Co to ma znaczyć?

— Bo moja żona za trzy wystarczy.



Ostrożnie zawiadomił.

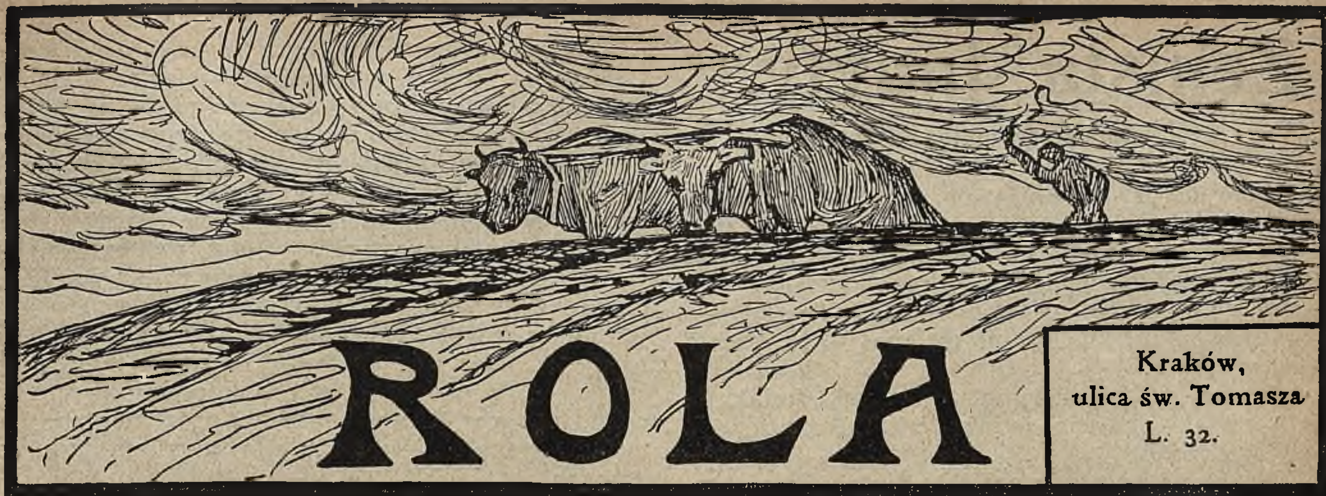
Aron Kornblum umarł na giełdzie rażony apopleksją. Należało zawiadomić o tem żonę, ale ostrożnie, bo i ją może szlag trafić ze wzruszenia. Tej delikatnej misji podjął się Josef Feinkopf. Idzie tedy do Kornblumowej i pyta:

— Czy tu mieszka wdowa Kornblum?

— Tu, ale jeszcze nie wdowa.

— Nie wdowa? — mówi Josef. A założ się pani, żeś wdowa.

Numer 34. Rok X. Kraków, dnia 21 Sierpnia 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: Kraków, św. Tomasza 32. Konto P. K. O. 406.301.

Lato.

Wiek człowieka po trzydziestce przyrównują do lata i całkiem słusznie. Minęła wiosna rozkoszna, urocza, pełna złud i upojeń, a nadchodzi okres, w którym trzeba się poważnie zastanowić, co dalej czynić należy, aby jesień życia, która szybkim krokiem zbliżać się zacznie, przeminęła kiedyś ukojnie i szczęśliwie.

Wiosenny okres życia ludzkiego przepływa szybko, niemal jak błyskawica. Człowiek się często nie zastanawia, co to jest życie, jakiem ono jest, jak długo trwać będzie i co ono z sobą przyniesie. Żyje po największej części z dnia na dzień, chwytając życia tego rozkosze, upaja się niemi,a jeżeli weń cios jakiś uderzy, przechodzi nad nim do porządku dziennego, starając się o nim momentalnie zapomnieć. Nie zastanawia się nad niczem długo, ani głęboko.

Inaczej jest w lecie życia ludzkiego. Tu coraz częściej zjawia się zastanowienie. W umyśle zjawiają się pytania: „Co dalej?" „Jaki cel i kres tego życia?" A w odpowiedzi przeważnie jest wielka niewiadoma, której ani najbystrzejszy umysł odgadnąć nie może. Lecz już to samo jest rzeczą bardzo dobrą, jeżeli wogóle człowiek zadaje sobie takie pytania. Bo choć nie znajdzie na nie chwilowo odpowiedzi, to bez najmniejszej wątpliwości przyszłość mu ją niedaleka przyniesie, a cokolwiek zdarzyć mu się kiedyś może, nie będzie dla niego bezwzględnie niespodzianką, ale jakąś rzeczą oczekiwaną, choć długi czas niewiadomą.

To też w tem lecie życia ludzkiego powinniśmy bardzo uważać, co i jak czynimy, aby kiedyś, gdy jesień nadejdzie, zbierać takie plony, któreby nam jedynie przyjemność i pożytek przynosiły. A właśnie w tym okresie istnienia naszego może każdy z nas tak wiele dla swej przyszłości uczynić. Trzeba tylko chcieć, a rzecz będzie wcale nietrudna.

W latach tych, większość ludzi normalnych ma już założone własne ognisko domowe, może niezawsze szczęśliwe, ale ma. I bez względu, jakiem ono jest, dbać o nie z całym wysiłkiem potrzeba. A pole tu do działania olbrzymie. Jeżeli ognisko to tworzy para ludzi kochających się nawzajem, to rzecz o wiele prościejsza, bo tak mąż, jak i żona, do jednego celu dążą i nawzajem sobie pomagają. Gorzej jednak jest wśród małżeństw niedobranych. Tu wszystko się rozłazi i ani rusz do czegoś pożytecznego doprowadzić. Najgorzej na tem wychodzą dzieci, o ile są. Wychowanie ich staje się nadzwyczaj trudnem, nie dlatego, aby ci rodzice, choć sami ku sobie nie czują miłości, tych dzieci nie kochali. Ale błądzą oni prawie zawsze w jednym kierunku, a mianowicie wywlekają jedno na drugie swe żale przed własnymi dziećmi. Jakżeż wówczas jest możliwe dobre wychowanie tych dzieci, jeżeli jedno z rodziców stara się zochydzić drugie wobec własnych dzieci. I po największej części zdarza się, że dziecko mimo woli bierze stronę zochydzonego, łagodzi w swym umyśle jego winy, a często je nawet naśladuje. Co różni rodziców pomiędzy sobą, dzieci absolutnie wiedzieć nie powinny.

A jakżeż bardzo często zdarza się, że żona, słusznie czy nie słusznie, wylewa swoje żale przed sąsiadkami. Jej się zdaje, że tem męża winnego poprawi. Złudzenie! Wszelki żal, choćby i najsłuszniejszy, wywleczony poza dom, męża tego, o ile jest winien, utrwala w złem, a jeżeli nie winien, prowadzi do złego. Często żale takie przechodzą napozór bez wrażenia, ale tylko napozór, gdyż dojrzewają one w lecie życia ludzkiego, aby później w jesieni wydać często plon niepożądany.

Jeżeli więc kto chce mieć jesień życia pogodną, niechże dba o to, aby w lecie tegoż życia nie dopuścić do żadnych dysonansów, którychby później trzeba było zbierać owoce.

Zemsta Judyty.

Opowieść biblijna.

Achior okrył się rumieńcem wstydu. Ten rumieniec zdawał się mówić, że podejrzenie Charmiego jest słuszne. Zabłysły więc złowrogo oczy zgromadzonych, gotowych rzucić się na biednego starca, który stał złamany i zawstydzony.

—Prawdę mówi Charmi wołano — pewnie to szpieg assyryjski.

— Nie jestem ich szpiegiem — odrzekł śmiało Achior. — A tak ich nienawidzę, jak tylko człowiek nienawidzić może.

— A czemuż cię przywiązali do drzewa przed bramami naszemi i odeszli?

— Bo mówiłem im o potędze Boga waszego.

— Inaczej jest, niż mówisz. Przyszedłeś, aby nas zdradzić i wydać Assyryjczykom.

— Mówiłem im, że Bóg wasz jest wszechmocny ,że dopomoże wam zwyciężyć Holofernesa, jeżeli tylko wiernie Mu służycie, a oni, rozgniewawszy się za to, chcieli mię zabić. Albo ,mówili, niech lepiej zginie razem z Izraelitami, gdy ich miasta palić będziemy; i dlatego przywiązali mię do drzewa.

Achior opowiedział wszystko, co mówił Holofernesowi i co rada wojenna względem Betulji postanowiła. Jego szczera otwartość i sława uczciwego człowieka, jaką się cieszył nawet poza granicami swego kraju, zjednała mu serca Izraelitów i rozwiała wszelkie podejrzenia.

Ale z jego opowiadania spostrzegli mieszkańcy Betulji, że Holofernes nie myśli ich wcale oszczędzać. Nie mogli się wprawdzie spodziewać łagodności, ani wspaniałomyślności od człowieka, który nikogo nie oszczędzał; gotowali się do walki na śmierć i życie, ale gdy wróg się zbliżał, gdy zbliżała się chwila, która miała stanowczo rozstrzygnąć o ich losie, każdy mimowoli zadrżał.

Postanowiono więc nakazać post całodniowy, aby pokrzepić na duchu ludzi bojaźliwych i wlać w serca nadzieję w miłosierdzie Boże.

Dzień więc następny był dniem postu i modlitwy. Po ulicach Betulji snuły się gromady mężczyzn, kobiet i dzieci w szatach pokutnych, z popiołem na głowach. Przez cały dzień nikt, nawet starzy i słabi, nie brali do ust żadnego pokarmu i napoju. Matki z płaczem tuliły swe dzieci do piersi, wzdychając ciężko, bo nasłuchawszy się wiele, w jaki sposób żołnierz assyryjski obchodzi się z dziećmi. Modlitwy gorące rozlegały się wśród tłumów: „Panie Boże Nieba i ziemi, patrz na pychę ich, a wejrzyj na uniżenie nasze, a okaż, że nie opuszczasz ufających w Tobie; a ufające w sobie i chlubiące się w mocy swej poniżasz“.

Wieczorem zebrali się starsi miasta do Ozeasza na wieczerzę. Zgromadzenie było bardzo liczne, ale nie wesołe. Smutek i przygnębienie ogarnęły najśmielszych i cicho było między nimi, jak przed nadchodzącą burzą. Któż bowiem mógł odgadnąć, jaka będzie wola Boża? Któż mógł przewidzieć, co się stanie z nimi jutro? Może z nich wszystkich będą tylko trupy porzucone na pożarcie dzikim zwierzętom? albo może będą brzęczały kajdany na ich nogach i rękach, a oczy będą patrzyły na burzenie miasta rodzinnego, na znęcanie się nad żonami i córkami, a uszy będzie rozdzierał płacz i krzyk małych dziatek, wołających napróżno o pomoc.

Był na wieczerzy i Achior. Siedział obok Ozeasza, Charmiego i innych przełożonych miasta. Zmienił się na twarzy; włosy rozrzucone, ubranie w nieładzie; z oczu łzy płynęły. Starzec ten niedawno szanowany i kochany przez wszystkich, pan bogatego kraju, hetman dzielnego wojska, dziś żebrak bez domu, bez ojczyzny, bez rodziny rozmyślał ze smutkiem o zmienności losu ludzkiego. Syna jedynego zostawił w obozie Holofernesa, a nie wiadomo, co się z nim stanie. Dla niego tylko poddał się Assyryjczykom, dla niego przyjął służbę u Holofernesa. Myślał, że syn pomści hańbę ojca; chciał więc uratować i jego i siebie. A teraz on tu — jako nieprzyjaciel Holofernesa, a syn tam wśród wrogów, którzy może już go zamęczyli. Serce mu się ściskało na tę myśl, a łzy gwałtem cisnęły się do oczu.

Pocieszali go Izraelici.

— Pociesz się, Achiorze — mówił Ozeasz — Bóg ojców naszych, któregoś ty moc opowiadał, Ten tobie da tę nagrodę, że ty raczej oglądać będziesz zatracenie.

A Charmi dodał:

— A gdy Pan Bóg nasz da nam wolność, niechaj będzie i z tobą Bóg w pośrodku nas, abyś z nami był, jako ze swoimi!

Po wieczerzy udano się do świątyni, gdzie wszyscy Betulijczycy zebrani, modlili się gorąco, żebrząc pomocy Bożej przeciw strasznemu nieprzyjacielowi.

Było rano. Słońce dopiero co wzeszło i czerwonym blaskiem ozłociło szczyty pagórków i dachy domów w Betulji. W świątyni modlono się jeszcze. Po ulicach chodzili ludzie smutni, bladzi, strwożeni.

Ze słońcem zjawiły się na wzgórzach lance nieprzyjacielskie; był ich cały las — gęsty, błyszczący; za lancami ukazały się hełmy, łuki i tarcze, wozy, konie i niebawem wszystkie wzgórza północne i wschodnie okryły się wojskiem assyryjskiem. Sto dwadzieścia tysięcy piechoty, dwadzieścia dwa tysiące jazdy, mnóstwo niewolników, świeżo zaciągniętych, posuwało się ku Betulji.

Wojsko rozwijało się na dwie strony: część szła na południe, część na zachód. Szły szybko, jak wezbrana fala, z szumem, krzykiem, rykiem bydła i szczękiem oręża.

Na murach Betulji stało wojsko izraelskie; za jego szeregami cisnęli się wszyscy mieszkańcy ciekawi, przerażeni. Kobiety cicho płakały, mężczyźni głośno przysięgali, że umrą z chwałą a miasta nie poddadzą.

Młodzi i silni otrzymali broń; kobiety miały piec chleb i gotować strawę. Zapasów było dużo, bo mieszkańcy z okolicznych wiosek schronili się do Betulji wraz z bydłem, zbożem i zapasami wina i oliwy. Owoce i zboża jeszcze niedojrzałe zniszczono, ażeby nie zostawić nic wrogowi. Dzieci i wyrostki znosiły na mury różne rzeczy, potrzebne do obrony. W pewnych odstępach ułożono kupy wielkich kamieni do rzucania na nieprzyjaciela i mniejszych do użytku procarzy. Ozeasz przebiegał mury i zachęcał wszystkich odpowiedniemi przemowami:

— Niewątpliwie wróg jest potężny — wołał — ale i Betulja jest twierdzą mocną, która odeprze Assyryjczyka, jeżeli bić się dzielnie będziemy. Bóg nie opuści nas w niebezpieczeństwie. Ufajmy Mu!

Przednia straż assyryjska podeszła pod samie mury, ale zaraz cofnęła się, wypuściwszy kilkadziesiąt strzał. Po niejakiej chwili przypuszczono szturm ze wszystkich stron na miasto, ale wnet się przekonano,

że Betulja łatwo się nie podda, że wszelkie ataki próżne; postanowiono więc zacząć oblężenie prawidłowe.

Najpierw zajęto się urządzeniem w pewnej odległości od murów dużego, oszańcowanego obozu, któryby pomścił całe wojsko. Obóz assyryjski miał zwykle kształt koła i otoczony był murem ceglanym z wieżami, jak miasto prawdziwe. Ponieważ każdy żołnierz posiadał jakieś rzemiosło i brał udział w tej pracy, przeto w kilka dni wszystkie roboty ukończono. Obóz dzielił się na części, w których szeregi namiotów tworzyły ulice. W środku obozu stały na wozie dwie chorągwie, wyobrażające Assura, assyryjskiego bożka wojny, zawsze obecnego pośród wojsk. Kapłani codziennie odprawiali przed nim nabożeństwo z temi samemi ceremonjami, jak w mieście Niniwie.

Po urządzeniu obozu jedna część wojska zwykle odpoczywała, inna prowadziła przekopy lub wyruszała na zwiady. Tym sposobem Assyryjczycy zapanowali nad całą okolicą i przerwali wszelką łączność między Betulją a innemi miastami.

Holofernes pewny, że nikt nie przybędzie Betulji z pomocą, rozpoczął oblężenie z całą prawidłowością. Dokoła miasta ustawił procarzy i łuczników, którym rozkazał staczać ciągłe utarczki z oblężonymi i nie dawać im chwili wypoczynku od rana do wieczora. Każdy łucznik miał przy sobie kopijnika; obaj ukrywali się za wielką tarczą, plecioną z łoziny, okrągłą, mającą wysokości sześć stóp. Tarcza u góry zaginała się i kończyła ostrym szpicem, albo miała daszek. Kopijnik nosił ten puklerz, niby szaniec ruchomy, którym osłaniał siebie i swego towarzysza.

Kopijnicy z łucznikami, zasłonięci temi tarczami, zbliżali się do muru na sześćdziesiąt kroków. Kopijnik ustawiał odpowiednio tarczę, a łucznik zaczynał strzelać.

Betulijczycy, ukryci za murami, też wypuszczali strzały. Tymczasem inne oddziały wojsk pod osłoną tego gradu strzał pełzły do bram i usiłowały wywalić je toporami lub podłożyć ogień. Ale ogień nie chciał się jąć grubych drzwi, okutych żelazem, a Betulijczycy rzucali na napastników kamienie, strzały, kloce drzewa, niewiasty zaś wylewały gorącą wodę.

Chociaż Assyryjczycy mieli na sobie odzienie, podbite grubą warstwą wełny, które osłaniało ich od stóp do głowy, jednakże cofali się z pośpiechem, zostawiając pod bramami wielu zabitych i rannych.

Wracali jednak wieczorem z faszyną, łuczywem żywicznem i smołą i układali to wszystko pod bramami, żeby je spalić. Często wybuchał gwałtowny ogień, a wtedy krzyk i lament powstawał na murach, bo gdyby bramy spłonęły, Betulja zginęłaby bez ratunku. I stałoby się tak niezawodnie, gdyby nie przytomność zapobiegawcza Ozeasza. Z jego bowiem rozkazu stało przy każdej bramie na wieży mnóstwo stągwi z wodą. Żołnierze więc,lejąc wodę z góry, rychło ogień gasili, inni zaś tak prażyli Assyryjczyków strzałami, że połowa padała trupem, inni uciekali.

To się ciągle powtarzało.

Jednej nocy Assyryjczycy zrobili podkop pod wieżę południową, ale Ozeasz wypadł na czele silnego oddziału i rozproszył ich, a nim przybyło więcej pogan, Betulijczycy już byli w mieście.

Majstrowie tymczasem budowali olbrzymie machiny, któremi mieli kruszyć mury; niewolnicy zaś zasypywali wąwozy i robili mosty zwodzone. Holofernes objeżdżał obóz, doglądał robót, kierował całem oblężeniem, badał położenie.

Pewnego dnia zauważył, że z jednej góry woda rurami spływała do miasta. Kazał więc natychmiast rury poprzerywać, a przy źródłach, które były pod murami, ustawił silne oddziały, aby nie dopuścić Betulijczyków do czerpania wody.

Na razie oblężeni nie upadli na duchu. Postanowili wytrwać w obronie miasta i bić się do ostatniej kropli krwi. Ale gdy po dwudziestu trzech dniach wypróżniły się cysterny, gdy ludzie zaczęli mdleć od pragnienia, męstwo odbiegło, a przyszły zwątpienie i rozpacz.

Holofernes już rychło spostrzegł, że brakiem wody prędzej zmusi Betulję do poddania się, niż najgwałtowniejszymi atakami. Rozkazał więc przerwać budowę machin i zabronił wszelkiego narażania się na strzały nieprzyjacielskie. Sam zaś codziennie w towarzystwie dowódców objeżdżał wszystkie góry okoliczne, bacząc, by Izraelici nie mieli znikąd dopływu wody. Był teraz pewnym, że Betulja lada dzień zda się na jego łaskę i niełaskę. To też wyprawiał codziennie uczty wesołe. Cały jego obóz zamieniał się na wielkie miasto zabaw i uciech wszelkiego rodzaju.

W Betulji robiło się coraz smutniej. Porcje wody, które wydawano codziennie, były coraz mniejsze. Można było używać jej tylko do gotowania i pieczenia chleba, ale nikt nie mógł ugasić pragnienia, bo nie miał czem. Wieczorami, gdy rosa zwilżyła ziemię, lizano kamienie, mury, przykładano do języków liście, lub pito surową krew zwierząt wbrew przepisom Mojżesza, ale to nie gasiło pragnienia. Gdy słońce prażyć zaczynało, ludzie mdleli i padali na ulicach. Opuszczała wszystkich ochota nie tylko do obrony, ale do życia samego.

Zeczęto więc szemrać coraz głośniej. Odważniejsi zbierali się przed Ozeaszem i krzyczeli:

— Wody, wody, umieramy z pragnienia!

— Skąd wam wezmę wody — tłomaczył Ozeasz — skoro jej sam nie mam?

— Poddaj miasto Holofernesowi, niech da nam wody!

— Holofernes zamiast wody, pobije was mieczem, lub pozawiesza na drzewach.

— Wolimy niewolę u pogan niż śmierć.

— Holofernes oszczędzać was nie będzie.

— Wolimy śmierć od miecza, niż z pragnienia wody.

— Męki, jakie obmyślił dla was Holofernes, będą straszniejsze, aniżeli pragnienie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odnaleziona piosenka.

Odeszłaś pieśni szukałem cię
po polu i po lesie
Myślałem, że mi szumny wiatr
Choć echo twe przyniesie.

Szukałem cię wśród ciszy wód
i pośród grozy gromu,
Ale nie chciałaś wrócić znów
do samotnego domu.

Nie chciałaś wrócić z drogi gwiażd
i usiąść przy mym stole,
Chciałaś mieć własną przestrzeń, czas,
i swoją własną dolę.

Szukałem cię wśród mgieł i słońc,
wśród zgiełku i wśród głuszy
Aż odnalazłem pieśni cię
W maleńkiej ludzkiej duszy.

Kazimierz Urban.

Żona.

(Humoreska z rosyjskiego.)

I.

Kiedy się długo mieszka z jakim człowiekiem, nie spostrzega się tego, co stanowi główną i naistotniejszą treść wzajemnego stosunku. Widocznie chodzi o szczegóły, z których się składa to, co jest najistotniejsze.

Tak więc: nie można oglądać wspaniałej świątyni, dotykając się końcem nosa jednej cegły tej świątyni! W takiej sytuacji zazwyczaj jest bardzo trudno ująć ogólny wyraz świątyni. W najlepszym razie bowiem, można spostrzedz oprócz tej cegły, jeszcze parę sąsiednich cegieł i tyle...

Dlatego kosztowało mnie to wiele trudu i lat skrzętnej obserwacji, aby nabrać ogólnego przekonania, że „żona mnie bardzo kocha".

Ze szczegółami jej stosunku do mnie — zdarzało mi się spotykać i wcześniej, jednakże nigdy nie mogłem zebrać ich w jedną kształtną całość.

Tymczasem pewne szczegóły trzeba przyznać, były bardzo rozczulające...

* * *

Razu pewnego żona leżała na kanapie i czytała książkę, ja zaś byłem zajęty podówczas wyprasowaną koszulą, której kołnierz z jakimś oślim uporem odmawiał zejścia się na mej szyi.

— Zczep się, przeklęta koszulo — mruczałem głosem błagalnym. — No, czy cię to tak drogo kosztuje? Żebyś już raz pękła!

Koszula oczywiście, nie była przyzwyczajona do wymyślań i wyrzutów, ponieważ rozgniewała się, zdławiła moje gardło, a kiedy, dusząc się, szarpnąłem za kołnierz — przy pętliczce pękła...

— Żebyś pękła! — wrzasnąłem.

— Zresztą, ty jużeś to zrobiła. Teraz, aby ci dokuczyć — trzeba będzie na nowo zaszyć pętlicę.

Podszedłem ku żonie:

— Kasieńko! Zeszyj mi tę pętlicę!

Żona, nie podnosząc głowy z nad książki, mruknęła łagodnie:

— Nie, tego nie uczynię.

— Jakto — nie uczynisz?...

— A tak. Zeszyj sam!

— Droga! Ale przecież ja nie mogę, a ty możesz!...

— Tak... — rzekła smętnie. — Dlatego też właśnie powinieneś sam to zrobić. Naturalnie, ja mogłabym zaszyć tę pętlicę. Ale przecież nie jestem długowieczna! Umieram, dajmy na to — ty zostajesz sam — i cóż? Nic nie umiejący, rozpieszczony, bezradny wobec jakiejś tam pękniętej pętlicy — będziesz płakał i mówił: „czemu a czemu nie przyzwyczaiłem się przedtem do tego?"— Oto, dlatego pragnę, abyś ty sam to zrobił!...

Zalany łzami, padłem przed żoną na kolana:

—O, jakaś ty dobra! Ty nawet zaglądasz poza granicę tego niesłychanego wypadku — kiedy opuścisz ten padoł ziemski. Jakże wywdzięczę ci się za tyle miłości i pieczołowitości.

Żona westchnęła i znowu zabrała się do książki, ja zaś usiadłem w kąciku i wydostawszy igłę, począłem cichuteńko zaszywać pętlicę. Na wieczór — wszystko było zupełnie skończone.

Nie zapomnę i drugiego wypadku ,który jeszcze z większą dobitnością charakteryzuje tę łagodną, kochającą, tę do śmieszności troskliwą o mnie istotę.

Otrzymałem od jednego z przyjaciół prezent w dzień urodzin: szpilkę brylantową — do krawata.

Kiedy pokazałem szpilkę żonie, ta ze strachu wyrwała mi ją z rąk i przerażona zawołała:

— Nie! Ty nie będziesz jej nosił, w żadnym razie nie będziesz!

Zbladłem.

— Jezu! Co się stało? Dlaczego nie będę jej nosić?

— Nie! Nie! W żadnym razie! Życiu twemu przez nią będzie groziło wieczne niebezpieczeństwo! Ta szpilka na twojej piersi — to zbyt wielka przynęta dla bandytów ulicznych. Spostrzegą, nie daj Boże — dopilnują cię wieczorem na ulicy i wyrwą ci szpilkę, a ciebie zabiją!

— Cóż więc mam z nią zrobić? — wyszeptałem blady jak trup.

— Już wiem co! — srebrnym głosikiem zaśmiała się radośnie żona. — Oddam ją do przerobienia na broszkę. Przy mojem niebieskiem ubraniu będzie mi pewnie z nią bardzo do twarzy.

Zadrżałem z trwogi:

— Droga! Ależ przecież oni mogą i ciebie także zabić!

— Niech tam! Abyś ty tylko żył mój drogi, mój jedyny... A ja — niech tam! moje zdrowie i tak słabe... kaszlę...

Zalany łzami padłem jej w objęcia.

Nie minęły jeszcze czasy męczenic chrześcijańskich — pomyślałem.

I tak na każdym kroku widziałem jej pieczołowitość.

Tkwiła ona w każdej drobnostce. Wszelka drobnostka przedzierzgnięta była jej czułą o mnie pamięcią; we wszystkiem i wszędzie pierwsza — była jej myśl o tem, aby wyrządzić mi jakąś niewinną radość czy przyjemność.

(Dokończenie nastąpi.)



Myśli

Uroda dar to wielki! Z oblicza pięknego
Wnioskuj na piękność Stwórcy — bo to obraz Jego.

☆ ☆

Gdy dzień święty zabłyśnie — stań w świątyni progu,
Co cesarskie cesarzowi, co boskie daj Bogu!

☆ ☆

Wdzięki ciała u niewiast przy nawyczkach szpetnych,
Nie są wystarczające dla natur szlachetnych,

☆ ☆

Zbyt zakochanyś w świecie — myślisz bez wątpienia,
Że dla cię nie wybije ostatnia godzina

☆ ☆

Uszanuj godność starszych i miej się zdaleka,
Wara z poufałością, bo cię wzgarda czeka

☆ ☆

Jak w słońcu tkwi pierwiastek światła, ciepła, życia,
Tak w Bogu — Ojciec-Syn-Duch — Trójcy tajemnica.

Piotr Wenc.

ZABAWKARSTWO W JAPONJI.



Pisaliśmy w poprzednim numerze »Roli« o szeroko rozgałęzionem czytelnictwie w Japonji i zaznaczyliśmy, że oświata dopomaga mieszkańcom tamtejszym do osiągnięcia zamożności i dobrobytu. I rzeczywiście dobrobyt ten jest znaczny, gdyż Japończyk nietylko posiada wysoką kulturę, ale jest on też nadzwyczaj pracowity. Wyroby jego nietylko zaspakajają zapotrzebowanie w kraju, ale są rozsyłane po całym świecie, a wskutek tego z całego świata płyną też pieniądze do kieszeni Japończyków. Wyroby ich — a w szczególności bronzy, porcelana malowana, emaljowane wyroby, makaty jedwabne, roboty lakowe itp. — są znane w całej Europie. Wyroby japońskie odznaczają się zupełnie odrębnym sposobem zdobienia. Ornament czyli rysunek przedstawia postacie osób, zwierząt i kwiatów, pojmowane nie tak, jak one są w naturze, lecz w właściwy Japończykom sposób, czyli w stylu japońskim, odznaczającym się wielką fantazją czyli pomysłowością i swobodą.

Wyrobami najrozmaitszych, często bardzo subtelnych rzeczy, zajmują się wieśniacy tamtejsi w wolnych od prac w polu chwilach, a przeto powiększają swoje dochody i nie oglądają się wyłącznie na korzyści płynące z pola. Szczególniej po wsiach szeroko jest rozwinięte zabawkarstwo. Czy to wieczorami, czy w czasie zimowym, cała rodzina gromadzi się około prymitywnego warstatu i z całym zapałem zajmuje się wyrobem zabawek. Chwilę taką widzimy na powyższym obrazku. Czterech pracowników siedzi przy domowym warstacie, a obok nich stoją wyroby ich rąk, jak słoń, pies, krówki itp. rzeczy, które spieniężone później przyniosą im znaczny dochód.

Nie lubię miłości!

Nie lubię miłości, która nudno płynie,
Która jednaką jest w każdej godzinie,
Taka potulna, słodziutka i gładka,
A taka nudna, jak z lukrem pomadka...

Nie lubię miłości, co się tak układa:
Gdzie ją posadzisz, to tam ona siada,
Do ekstrawagancji nigdy nie jest skora,
Co dziś jest taką, jaką była wczoraj.

Nie lubię miłości ostrożnej... zdaleka,
Co przed następstwy tchórzliwie ucieka...
Nie znoszę miłości od święta... niedzielnej
Na kilka cząstek drobniutkich podzielnej!

Nie lubię miłości, która co pół roku
Jaśniejszą łuną wytryskuje w oku,
By potem znowu, jak duch tajemniczy,
Wieść dalej cicho żywot suchotniczy.

Miłość to dla mnie, jak żar jasny słońca,
Pełna uścisków i pieszczot bez końca,
Która przez życie, jak wichr wartko leci,
Która, jak piorun wśród nawałnic świeci!

Miłość to dla mnie szał i upojenie,
Ból, rozpacz, radość, szczęście, zapomnienie,
Jakieś bezdenne serc zapamiętanie
I takie wielkie, nadludzkie kochanie!

Stanisław Kamyk.



MACIEK BZDURA GADA:

Wkiejsik trzasł we mnie pierun z jasnego nieba. Bez cały dzień zwoziłem se za przeproseniem snopki z pola, bo pogoda była cudaśna, a choć sie woda ze mnie na wszyćkie boki lała, weseliło sie całe ciało moje, jako ze przecie nie pracowałem na bezdurno, ale na chlebuś i klusecki, jakie się będzie wsuwało po Bożemu bez całą zime. Spętałem ogony, wygnałem je na ugorek za stodołę i zacąłem juz cwartą misecke zimniaków do wanciucha wsuwać, kiedy przysła Kaśka i pada: — „Wis Maciek, wydajem sie!" — „Co takiego? — ja na to. — Cy ci sie we łbie przeinacyło?" — „Nic podobnego, — ona znowu — ino sie wydaje, i to tak na prawde, nie jak drzewiej, ino na amen i dokumentnie".

— I gdziez sie taka choroba głupia znalazła, co na twoją cielęcą mordę popatrzyła?

— Choroba nie choroba, głupia nie głupia, ale sie znalazła. Zwlikałeś ty, więc sie inksy znalazł i zdmuchnie ci spyrkę z przed nosa.

— Niech se bierze takie ścirwo, nie skodzi, ale padajze, kto on jest?

— Anibyś zgadł, więc ci powiem: Jó-zek Ma-ko-łą-gwa...

— No pewnie, zebym nie zgadł, bom go przecie az za tak głupiego nigdy ni miał. Ale widocnie Poniezus chce go pokarać, więc mu odjął na jakiś cas rozum i nie wróci mu go jaze po ślubie. Zreśtą nie on jeden bedzie, bo takich było juz miljony.

Rozsierdziła sie Kaśka na mnie okrutecnie i myślałem juz, ze zamknie jadacke na śtyry spusty, ale gdzie tam. Baba gębe bardzo łatwo otworzy, ale jak przyjdzie do zamykania, to ani rus jej sie to udać nie moze. Bez to tez i Kaśka ani nie próbowała jej zamykać, ale bez przycinka wsiadła na mnie z ozorem i pada:

— A i cóz se ty chlebojadzie myślis, cy mnie to Poniezus nie dał tego wszyćkiego, co do wydania sie jest potrzebne? Umie cielicki wydoić, portcęta wyprać, baszcyska cały baniak nagotować, a jakby sie do jesieni i pare dziecek skąd wzięło, toby mi nie nowina była gęby im wiechciem ochędozyć, gdyz przecie juz nieraz prosiaki, jak sie zabardzo pobabrały, pucowałam.

— Cie wy! — ja jej na to. — Rozum u ciebie, nicem u organisty z Bucywołu! Tobie sie widzi, ze to juz wystarcy. Oj, nie, nie i jesce raz nie! A ponieważ ani ty, ani wiele bab nie wie, cego potrzeba, aby być dobrą żoną, więc dziś, kiedy sie taka okazyja trafiła, powiem ci, abyś se dobrze zapamiętała i taką była, o ile Józka to niescęście spotka, że sie z tobą ożeni. A nie myśl, że to, co ci powiem, ja se sam wymyśliłem. O nie! Ja to wszyćko słysałem od prefesura, a trza ci wiedzieć, ze wszyćkie prefesury to najmądrzejse ludzie na świecie. Zreśtą zdarł on juz przy sobie trzy baby, to ma obserną praktyke. A więc prefesur, jak my sie o tem raz zgadali, tak powiada: — „Wis Maciuś, u baby majątek furda, pracowitość furda, pobozność furda i wszyćko furda! Baba, aby była dobrą babą la chłopa, powinna przestać myśleć o sobie a myśleć ciągiem o tym chłopie, którego jej Poniezus za jej dobre ucynki ochwiarował. Powinna sie z tego radować, z cego sie jej chłop raduje, a tem smucić, cem sie on smuci, i cynić wszyćko to, co jemu ukontentowanie przynosi i być mu wszyćkiem i zawse i na kazdem miejscu i o kazdej godzinie. A jezeli baba będzie la chłopa taka, to ten chłop nie wiada skąd i jak bez tej baby obejść sie nie będzie mógł, ale ją tak umiłuje, ze juz nietylko od siebie na krok nie puści, ale i sam od niej nigdzie nieodlizie. A ty myślis, ze często tak sie dzieje na świecie? Gdziez tam! Ta albo i tamta, jak ino jakiego obśturchańca upoluje, to sie jej zaraz widzi, ze se kupiła takie cielątko, które ciągiem powinna na powrózku wodzić. La tego tez temu cielątku na nic nie pozwala, a ze wszyćkiego, co ono zrobi, nie rada i zamiast je przychołubić i po grzbiecie pogłaskać, to ona zawdy z pazurami i jęzorem do niego. A jakby on tak ośmielił sie powiedzieć, ze i on przecie ma jakiesik prawa i ze i jemu sie coś nalezy, to w ocymnieniu zacnie lamentować i powiadać, ze jakby była wiedziała, co to w małżeństwie ceka kobite, toby sie była nigdy ani na moment nie wydawała. I taką sie wtedy ucyni ochfiarną, zeby sie ją ino powinno na stosie spalić." — Tak powiadał prefesur, co to ma rozumu pełną głowe ze jaz się mu usami przelewa i musi je watą zatykać, i mnie sie widzi, ze on miał recht. A trza ci wiedzieć, ze Józek Makolągwa, choć tak fujarowato wygląda, to nie jest taki fujara, zeby, jak po weselu będzie co nie tak, jakby on chciał, nie sprał cie na kwaśne jabkó, co zreśtą w takich wypadkach kuzden rozumny męzcyzna powinien ucynić.

Myślałem, ze Kaśka wścieknie sie na mnie, myśląc, ze ja to tak wszyćko bez zazdrość gadam, ale ona po raz pirsy zmiękła na wcorajsą kapustę i pada:

— Moze ty, Maciuś, i mas recht, bo i mnie sie tak widzi, ze aby dwojgu ludziom było dobrze na świecie, to oni sie tak powinni znać oboje, zeby ich potem zadna niespodzianka nie spotkała. A jakze sie tak jak jest teraz poznać mogą? Kawalery udają przed dzieuchami zuchów, dzieuchy przed chłopakami ukrywają wszyćkie swoje wady, a to, co w nich dobrego, wystawiają, jakby na sprzedaż. Ksiądz zwięzuje ręce dwojga takich ludzi, którzy dłuzej cy krócej sie osukiwali, i jakze tu potem ma być dobrze. Juz miałam powiedzieć, ze przecieby to dobrze było, gdyby tak brano śluby na próbe: na rok lu dwa, alem się ugryzła w język, boby jegomość zaraz mnie spsiocyli, zem bolsewicka lub jak insa ocajdusa. Ale jak to nie możliwe, to przecie dobrzeby było, aby, jak ucą w skołach pisać, cytać, cy rachować, ucono także, jak co, gdzie, i kiedy trzeba robić w małżeństwie. I widzi mi sie, ze nas prefesur chętnieby sie takiej nauki podjął, bo jęmu baba nie nowina, jako ze sam ich własnych juz trzy zdarł, a za cwartą sie ogląda.

Otwartość!

Raz gospodarz parobka chwycił na kradzieży:
Takiś, bratku, rzetelny, tak czynić należy?
W dawnej służbie to ciebie za poczciwca miano
I dobre ci świadectwo w książce wypisano —
Hultaj, mierny jednemu, drugiego okrada!
Parobek się tłumacząc, te słowa powiada:
W dawnej służbie, co prawda, to porządny byłem,
Wszystko mieli pod kluczem, więc nic nie ruszyłem!

Fr. M.

WŁADYSŁAW WOSNAK.

UCIECZKA ARCHANIOŁA

Powieść współczesna.

Mijał rok. Zośka dzielnie zastępowała matkę, lecz ojciec... ot, tak sobie. .Raz chwalił, to znów ganił i krzywił się na wszystko: na Zośkę, że robotę partaczy; na Franka, że staje się wielkim panem i przypisuje sobie wielką władzę w domu; na dziadka, że nic nie robi, wciąż przy pacierzach wysiaduje, a w jedzeniu najwięcej grymasi; na drobne dzieci, że są niesforne i robią się coraz gorsze pod dotychczasową opieką. Widać było, że coś mu nosem zakręciło i radby coś zmienić. Nie z własnej woli, nie, lecz... z konieczności. Tylko z konieczności.

A zaczęło się od niesłonych ziemniaków.



Musisz tylko uważać, aby ci która nie przesoliła...

Obiadują. Przy stole, a raczej — pełnej misce ziemniaków siedzi okółkiem spora gramadka, coś ośmioro głów, pochylających się i pilnie wypatrujących skwarka z chudej, przedzeszłorocznej „spyrki".

— Przesolone... — rzuca nawiasem Tomek.

— Przy mnie całkiem prawie — sprzeciwia się Franek.

— Jakby do Bochni było daleko... Wciąż tej soli brakuje! — odzywa się dziadek, wstając, aby się pofatygować do solniczki.

— Przed nami nie sólcie! — krzyczą dzieci chórem — już tak mamy dosyć. A skwarki aż pieką w język od soli.

Zaczerwieniona od irytacji Zośka — zaczynała się bronić:

— Soliłam jak zwykle, wymieszałam dobrze... Skąd się wzięło przed jednym takie, a przed innym takie?!

— Źle, jak niema w domu baby, coby się znała na gotowaniu „jak się patrzy" — dodał jeszcze, niby z determinacją, Tomek.

— Cuda, cuda!? — dziwił się Franek. — Cały rok było dobrze, aż naraz zaczyna być wszystko źle. To coś nowego. Dziecko — niby Zośka — robi, co może, a zamiast jej pomóc, wszyscy dokuczają. Tyle to każdy potrafi... I co tu jeszcze chcieć od tych ziemniaków?

— Tyś zawsze był opaczny.

— Już tam na Zośkę można się zdać i wcale nie potrzeba soli ubierać, ani w garści trzymać. Przez rok miała dosyć czasu na wprawę. Ale ja wiem do czego zmierzasz: zachciewa ci się czegoś... Jest ich teraz dosyć po wojnie — możesz wybierać. Musisz tylko uważać, żeby ci która tak nie przesoliła, ażbyś przez gardło nie mógł przełknąć.

— Bez rad się obejdę, a zrobię tak, jak będę sam uważał.

— Daj ci, Boże szczęście!

— Choćbym nie chciał, ale zrobię to głupstwo... wam na przekór! Bo co powiem — zawsze nic nie warte; wszyscy w domu coś znaczą, tylko ja nic, tylko mną pomiatać można.

— Patrzcie, patrzcie!... co za nowiny.

Tomek, nie słuchając pomrukiwań Franka, ciągnął dalej swoje wywody.

— Dobrym czasom musi nareszcie przyjść koniec, bo tak dalej być nie może. Wasze rządy muszą się skończyć!

— Jak już kto koniecznie chce, to i dobre czasy mogą się dla niego skończyć. Każdy sobie sam wykuwa swój czas i los, sam sobie nim kieruje i pogania. Nie trzeba tylko potem na kogo innego narzekać, a uchylać siebie.

— Co ty, Franek, tyle dogadujesz? — oburzył się dziadek. — Gdzieżby Tomek myślał o babie, skoro mu dziecka dorastają i niemi trzeba sobie wnet głowę zaprzątnąć, jakby je w świat puścić. Jaka baba?... Cóżby to wtedy było, kiedy już teraz dosyć jest w domu różnych kłopotów...

— Coby było? Porządek! — dobitnie zawyrokował Tomek. — Porządek, jakiego tu w domu nikt nie zna! Nareszcie wyporządziłby się dom, a ja zacząłbym jakieś ludzkie życie.

— No, no!... Dom by się wyporządził... jakby był zapowietrzony. Nie widziałeś jeszcze zarazy, ale ją możesz mieć; ani jej sam djabeł nie odpędzi.

— Nie będę o to nikogo prosił, tembardziej djabła. A jak chcecie wiedzieć, to wam powiem, że babę już mam... upatrzoną!

— Wiedziałem! dlatego ziemniaki były przesolone...

Po tem powiedzeniu, Franek odłożył łyżkę, poczuwszy się nagle sytym.

— Ale, ale... fochy można odłożyć na później. Mnie już one nie przestraszają.

Dziadek wyszedł do swojej izdebki, aby zmówić Anioł Pański, Franek do stajni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi; a Zośka, zbierając łyżki ze stołu, płakała, choć gwałtem chciała pokazać, że ją nic a nic nie obchodzą ojcowe zamiary.

Jednak płakała.

IV.

Swoje odgrażania Tomek wkrótce doprowadził do realizacji. Jednego z następnych dni dzieci miały zobaczyć po raz pierwszy przyszłą matkę.

— Zośka, uczesz-że mię! prosiła najmłodsza, sześcioletnia siostra.

— Dziś nie niedziela!... Jeszcześ się nie rozplotła.

— Ale mama przyjdą...

— Jaka mama? Będziesz miała mamę, zobaczysz! Twoja mama umarła; czy nie pamiętasz?

— A czemu tata mówili?

— Jeżeli ci mówili, to idź do nich, niech cię uczeszą.

— Co za Zosia... Powiem tatowi, że mię nie chcesz uczesać.

— Zaczekaj lepiej na matkę!

Zośka pomyślała sobie: mała, więc i głupia. Równocześnie uczuła głęboki żal, szybko wzmagający.

Jak będzie, to będzie, ale zawsze dą sobie radę i nie pozwoli siebie skrzywdzić. Inna rzecz te drobiazgi... Te muszą się zdać na łaskę i wolę macochy. A kiedy spostrzegła w oczach siostry łzy, nie mogła ścierpieć, odwróciła się, niby szukając grzebienia.

— Chodźże już, chodź! Rozplataj warkocze, a ja tymczasem znajdę jaki grzebień... Zawsze gdzieś pogubicie, że trudno się potem doszukać.

— A wstążkę zapleciesz mi?

— Jak chcesz.

— Tę niebieską... nie-lepiej różową. Mam w skrzyni; obie przyniosę... Sama nie wiem, która ładniejsza... Obie ładne.

Dziwna rzecz: Zośka w żaden sposób nie mogła znaleźć grzebienia.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Przyszła. Odbyły się swaty, zrękowiny, umówiny i wszystko razem. Stara już była, dużo starsza od Tomka, co Franka i Jędrzeja jako tako powstrzymało od najczarniejszych myśli, oraz skrajnie pesymistycznego zapatrywania na przyszłość dzieci. Dotychczas siedziała u córki na części, lecz — ponieważ zięć był do niewytrzymania — zgodziła się stanąć przed ołtarzem po raz drugi, mimo swej sześćdziesiątki. Nic nie ryzykuje, bo w razie czego, zawsze ma swoje miejsce. A chłopa mieć, choćby i na starość — nie zaszkodzi wcale.

Dzieci były olśnione: w części matką; a w gruncie rzecy — cukierkami, których podostawały z całą obfitością uroczystego dnia.

Słodyczy, obietnic było bezliku. Wierzyć tylko, a już sama wiara mogłaby upoić i przyprowadzić do zawrotu głowy nawet dorosłego człowieka, cóż dopiero mówić o dziecku.

— Takie macie stare chustki na głowach...

— Po mamie jeszcze.

— No, to ja wam tu naznoszę; mam ich pełną skrzynię. Różne są: żółte, czerwone w pasy, z kwiatami, krasiate... Ja już stara do nich, ale wam będą pasowały.

Dzieci wierzyły. Wszakże dziecko wierzy tą wiarą, która aprobuje zdolność przejścia słonia (sądzi może, iż słoń ma wielkość pchły) przez dziurkę igły. Nawet Zośka, nawet dziadek Jędrzej, nawet i Franek zaczęli się uśmiechać dyskretnie. Najtęższa opozycja zaczęła się cofać z placu.

W izbie robiło się coraz cieplej.

Umówiono się nawet co do wesela: terminu ślubu, jako i innych przynależności, związanych z tym faktem. Widać stąd, że nietylko młodym, ale i starym spieszy się do miodowych miesięcy. Jaki z tego wniosek — że życie nie starzeje się nigdy. Ono jest wiecznie pełne świeżości i ponęty. Oj, życie, ty życie! któż ciebie zgłębić potrafi? Kusisz, nęcisz, łapiesz na wędkę czaru, upojenia, rozkoszy; bryzgasz błotem, napawasz piołunem smutku, łez, — a wszystko to zdolne jesteś wyrzucić ze siebie w ciągu jednego drgnienia czasu, jednej zmiany w przestrzeni... Kim jesteś, maseczko? Nie zakrywaj się — poznałem cię!

Poznałeś? Ha! ha! ha!

— No, i co powiecie, dziadku, na moją żeniaczkę?... Baba starsza, dziecek nie będzie... a w domu się przyda.

— Jak uważasz...

— A ty, Franku?

— Ja... cóż ja... Nie moja w tem rzecz.

Milczenie.

Franek wysunął się — jak zwykle, gdy znajdował się w kłopotliwej sytuacji — do stajni, niby że czas był na napasanie bydła, a dziadek zabrał się do swoich pacierzy.

Po izbie hałasowały dzieci, porzucając się twardemi cukierkami.

— Nie możecie zjeść, to schować!

— Naco, kiej mama wnet przyjdą, to nam znów przyniosą.

— Ciesz się!... Będziesz palce oblizywała wnet z tych cukierków... aż ci język spuchnie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi).

U stóp krzyża.

Z cyklu: „Echa wiejskie“.

I.

Żniwny odwieczerz zapadał nad wioską.

Świat był pełen zżętych i dojrzewających zbóż, kop, uznojonych ludzi, wozów ciągnących polnemi drożynami, krzyków, głosów przeróżnych, żwawych piosnek pastuszych i żaru, bijącego od spieczonej słońcem ziemi. Poprzerzynane szarymi ścierniskami drzemały tu i ówdzie pachnące koniczyny rozegrane rojami pszczół, świeciły żywą zielonością kartofle; w dolinach okwitały łąki, pokryte chmurą brzękliwych owadów i barwnych rozkołysanych motyli.

W ścierniskach i na miedzach trawiastych grały tęskliwe kapele koników polnych, głuszone rozkolebaną wrzawą ludzką, chrzęstem kos i sierpów, turkotem wozów i słodkim rozgwarem ptasich chórów.

Zielone fałdy pól kończących się czarnymi ścianami borów, płynęły w dwu przeciwnych kierunkach od wioski, prawie niewidzialnie ukrytej w koronach sadów, starych, rozgwarzonych pachnących lip, dębów i topoli.

Srebrzysto-sine mgiełki rozciągały swój welon czarowny ponad rzeką, łąkami i polami — w miarę zbliżającego się zachodu słońca. Wkrótce pół nieba stanęło w czerwoności zorzy wieczornej.

W wiosce wrzawa, świegot ptasi, krzyk dzieci, zapach zwożonych do stodół zbóż, turkot wozów, nawoływania, skrzypienie żórawi studziennych, poryk stad przy wodopojach. Tu i ówdzie jęły wybuchać nad chatami sinawe wstęgi dymów, rozlewając się w błękitnej przestrzeni. Okna zamigotały światłem i wioskę począł stopniowo ogarniać uroczysty spokój letniego wieczoru. A kiedy zagrzmiały rozegraną piersią dzwony wiejskiego kościółka — w wiosce ucichło się zupełnie. W takich chwilach wznoszą się dusze ludzkie ku niebu, bijąc skrzydłami modlitwy u stóp Bożego Tronu.

II.

Na krańcu wioski w cieniu drzew, stoi zczerniały od starości krzyż, na którym rozpięty Zbawiciel jaśniejąc w blaskach zorzy wieczornej, zdawał się błogosławić wiosce, jej niwom, chatom i ogorzałemu na słońcu ludowi.

U stóp krzyża klęczy siwy, wsparty na pielgrzymim kiju starzec. Przez okrytą kurzem zgrzebną koszulę starca widać nagie ramiona i ogorzały od spieki słonecznej grzbiet. Zapadłe głęboko, pełne bólu źrenice, utkwione miał w dobrotliwem obliczu Chry-

stusa. Łzy rzęsiste spływały chwilami z pooranej twarzy starca spoglądającego błagalnie w oblicze Tego, od którego jedynie oczekiwał zmiłowania. W piersiach mu się coś tłukło, coś go gryzło, paliło jak ogień piekielny, szarpało boleścią okropną, gdyż objąwszy drżącemi rękami godło zbawienia — jęczał:

— Boże, bądź miłościw... Chryste, na Rany Twoje... na Krzyż Twój, na Matkę Twoją... na Krew i na śmierć Twoją — błagam miłosierdzia!...

I długo rwał się szloch ciężki ze znękanej piersi starca, lecąc ku niebu jak ptak skrwawiony do swego gniazda.

Od wschodnich rubieży nieba nadciągał powoli szary mrok, a zorza wieczorna zgasła nad czarnymi borami. W wiosce panowała cisza przerywana chwilami ujadaniem psów i okrzykami zbłąkanych ptaków. Leciuchny wietrzyk zaciągał chłodzącym skrzydełkiem od gór, grając tęskliwą melodję na długich splotach białych brzóz, płaczących nad śmiercią Zbawcy. Księżyc wychynął swą trupią twarz ku ziemi, a w blaskach jego pałała skroń Ukrzyżowanego dziwnym nadziemskim płomieniem. Koniki polne grały ustawicznie swą nocną melodję śród traw, strumień za wzgórzami szumiał. Dokoła panowała cisza, tylko starzec szlochał:

— Przebacz, zmiłuj się!... Nie o życie błagam ja Ciebie — ale o śmierć!... Ja nędzny, ja lichy, ja proch — ale posiadający duszę nieśmiertelną, duszę drogo Krwią Twoją odkupioną — ośmielam się wołać do Ciebie o miłosierdzie — o wysłuchanie! — Od stu lat — wołał dalej starzec — nosi mię ta ziemia święta, karmiąca mię swym chlebem jak macierz... Każda grudka tej ziemi rodzinnej przepojona jest potem rąk moich i użyźniona temi oto dłońmi czarnemi każda piędź... Tu rodziłem się i tu umrzeć pragnę, jak ojcowie moi — na tych zagonach świętych... Po śmierci rodzica postawiłem tu, na tem miejscu na chwałę Twoją krzyż ten święty, myśląc: umrę na ziemi ojcowskiej, a krzyż Twój przetrwa dzieci i wnuki moje, burze i pioruny... O Panie, zmiłuj się!

Łkał starzec i trząsł się cały targany boleścią serdeczną... Trząsł się jak samotne na ugorach drzewo, szarpane i gięte ku ziemi wichrem, smagane niemiłosiernie deszczem i rozdarte do wnętrza piorunem. Ręce wyciągał ku niebu, jakby szukał czegoś w przestrzeni.

— Miłowałem synów, krew swoją, nad życie własne. Od ust odejmowałem sobie. Pragnąłem dla nich nieba... Lecz oni... o Panie, wybacz im! pomimo przestróg i wskazówek moich — poszli na złą drogę!... Nie umieli uszanować niedołęstwa starczego wieku, ni świętości ziemi ojcowskiej... Z pod strzechy rodzinnej kazali mi pójść w świat... Poszedłem... Lecz nie mogłem żyć bez tchnienia swoich pól i lasów... O! Ty jeden na niebie, a te brzózki płaczące na ziemi są mi jedynymi świadkami, ile ja nocy przepędziłem u stóp Twoich, u krzyża Twego szukając pokrzepienia i siły w boleści życiowej. Niech te grudki świętej ziemi i te kwiatki polne gorącemi moimi łzami zlane, świadczą kiedyś o mojem umiłowaniu!... Wszystko przeszło jak mara, jak sen, rozwiało się jak opary mgliste na skinienie słońca; wszystko przebrzmiało, uciszyło się jak rozhukane bałwany morskie za nastaniem ciszy — wszystko uleciało... lecz Ty jeden trwasz na wieki i sądził będziesz czyny nasze... O Panie, zmiłuj się!

— Starszemu nie dość było — skarżył się dalej — kawałka ojcowskiej ziemi; zapragnął szczęścia w cudzej zamorskiej ojczyźnie, gdzieś w puszczach Brazylji i rodzicielski sterawszy zagon — pojechał. Lecz błogosław mu Panie, aby mu ziemia obca nie poskąpiła chleba, aby szczęście pod obcym znalazł niebem!...

— Został mi młodszy, starości mojej podpora... Lecz to wódka przeklęta... O Jezu Ukrzyżowany... Żona mu dogorywa, dzieci nagie, głodne u cudzego proga żebrzą chleba... Żyd zabrał ostatni dobytek — nawet obrazy święte!...

Łkał starowina i całując żarliwie krzyż święty, żebrał gorąco o nawrócenie dla syna, o miłosierdzie i iskrę pociechy dla siebie.

Nad ziemią panowała noc głęboka. Księżyc stojący u zenitu spoglądał czarnymi oczyma na ogrom boleści, nielitościwie pożerającej życie biednych istot ziemskich. Nieskończone mrowie świateł niebieskich migotało w przestworzach. Niekiedy spadający meteor zabłysnął świetlisty smugą w przestrzeni i w bezdni astralnej skonał. Powaga jakaś i tajemniczość niezgłębiona płynęła od gwiazd udzielała się i ziemi. Wszędy królowała cisza. Zdało się, że wszelkie życie zamarło na globie ziemskim — a tylko śród tej ogólnej martwoty jeden tylko starzec czyni jakąś ofiarę tajemniczą u stóp Ukrzyżowanego — pod baldachimem z gwiazd.

— A jutro — szeptał złamanym głosem staruszek — o Chryste miłosierny!... a jutro karczmarz obejmie pod swoją właść ojcowskie moje zagony — te oto zagony uświęcone krzyżem Twoim świętym... Wyrzuci dziecko moje precz z pod rodzinnej, zczerniałej od starości strzechy. O boleści straszna... o chwilo przeklęta... o miłosierny! Ale to przecież nie może nastąpić... Ty nie pozwolisz... bo jedno słowo Twoje...

I upadł starzec jak dąb zgruchotany piorunem u stóp krzyża...

Cisza dokoła... Słychać było tylko szelest spadających w trawę łez i wzdych ciężki — cięższy od boleści konania. Starzec wił się u stóp krzyża w boleści strasznej w zapamiętaniu rozpacznem, odbierającym ludziom w takich chwilach rozum i bijąc się w piersi, krzyczał:

— Tu niech umrę, niech skonam, bylem nie dożył tej chwili! Nie oddam żydłakowi ziemi znojem ojców zlanej — precz żydzie, precz! Ta ziemia nasza polska świętą jest, nie dla ciebie — zdrajco przeklęty!... To relikwja polskich dzieci najdostojniejsza; to matka — krwią miljonów odkupiona — to świętość!... Tu, gdzie ojcowie moi pracowali i pomarli i ja chcę umrzeć — przepracowawszy wiek... To skarb mój bezcenny, dany mi od Boga!... To nieprawda... to nie może być!... precz żydzie podły, precz!...

Tak wołał w boleści największej staruszek, wieśniak prawy, kochający ziemię rodzinną, miłujący każdą jej grudkę miłością dziecka...

— Tu od dziecięcego wieku — jęczał znowu — przed każdą pracą błagałem na klęczkach o Twą łaskę, błogosławieństwo i pomoc w pracy. A z oblicza Twego spływało do duszy mojej ukojenie, radość, wiara, moc i siła uzbrajająca duszę na przeciwności życiowe. Tu każdy zagon żegnałem przed pracą krzyżem świętym, a Ty błogosławiłeś pracy mojej i czułem na każdym kroku opiekę Twoją i łaskę — za co racz przyjąć dzięki od niegodnego sługi Twego! Więc z Tobą nigdy się nie rozstanę, ja znękany, strapiony, zapomniany — wyrzucony z pod własnego dachu... Ty jeden mi pozostałeś nie zmieniony, odwieczny, ła-

skawy, ten sam. Wszak Ty wołasz ku niedoli ludzkiej, ku obarczonym nędzą i sieroctwem życiowem: „Pójdźcie do mnie wszyscy"!...

— O Panie! — błagał ze łzami — zmiłuj się, wysłuchaj ostatnią prośbę moją: Oto zanim nad tymi polami wstanie ranna zorza, zanim świat ze wschodem słońca zbudzi się do życia, zanim stanie się coś strasznego: pozwól mi umrzeć tu — u stóp Twoich! O nie dozwól dożyć mi tej chwili, w której dokona się potworna zbrodnia: oto żyd-karczmarz wywłaszczy jutro dziecko moje, a ostrze siekiery Bogobójcy ma zgruchotać Krzyż Twój święty!... Ty zamknij oczy moje wypłakane, by nie patrzały na to straszne świętokradztwo — na zbrodnicze bezczeszczenie godła zbawienia!... O wódko przeklęta... o synu marnotrawny — zdrajco ojcowizny świętej i... krzyża!... Lecz, o Boże, wybacz mu, on się nawróci... wszak to krew moja... wszak w piersiach jego polska krew — polskie serce bije!... Zmiłowania, ratunku! na Rany Twoje! Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!...

III.

Nad ogromnym uśpionych łanów morzem cisza roztaczała swój majestat. Zdało się, że te pola, wzgórza i okolne lasy, wsłuchane w straszliwą skargę zrozpaczonej duszy — doceniają jej okropność mrożącą krew w żyłach i z zapartym oddechem oczekują końca całej tragedji.

W nieskończonościach niebieskich paliły się spokojnie gwiazdy, na bory spadał księżyc, a Chrystus rozciągając na Krzyżu zsiniałe ramiona, zdawał się wołać: „Pójdźcie do mnie wszyscy... pójdź sługo wierny!...

Cisza. Nad staruszkiem leżącym u stóp Krzyża szumiały smutno białe brzozy — jakby chciały ukołysać na spokojny wieczny sen strudzonego, okrytego szronem starości pielgrzyma. Szumiały mu ostatnią pieśń pożegnania, ostatnią kołysankę na ziemi...

A kiedy pierwsze zorze poranku rozlały się złotym potopem nad polami — widać było spoczywającego u stóp figury przydrożnej z błogim uśmiechem na zsiniałej twarzy staruszka. Srebrzyste krople rosy okrywały rzęsiście sztywniejące członki starca, odzianego pyłem i dzierżącego w spracowanej dłoni kij pielgrzymi.

Wojciech Byczek.





Poradnik gospodarczy.

W obecnym miesiącu po skończonym miodobraniu należy pomyśleć o zapewnieniu pszczółkom dobrej zimowli. Pszczółki, aby dobrze zimowały powinny mieć ciepły, dobry ul, dobrą matkę, odpowiednią siłę, gniazdo dobrze ułożone z odpowiednim zapasem miodu. Aby im te warunki zapewnić, przeglądamy w pasiece, czy ule całe, nie zgnite i zbutwiałe, daszek nie zacieka, matka czy nie starsza nad lat trzy i czy dobrze czerwi, siła pnia powinna być tak duża, aby pszczoły gęsto obsiadły przynajmniej pięć ramek w ulu słowiańskim, a siedm w amerykańskim i miały odpowiedni zapas miodu dobrze ułożony, a gniazdo dostowane do siły pnia. Pracy nad dobrem przygotowaniem pasieki do zimowli nie należy odkładać, ale przejrzeć dokładnie ule i wszystko przygotować już w tym miesiącu. Na następny zostawić tylko podkarmienie, a później danie mat, co nastąpi już późną jesienią. Pszczoły przenoszą w głąb ula zapasy miodu i układają je odpowiednio na zimę w czem im przeszkadzać nie należy. Nie dłubać w ulu, ale przegląd załatwić szybko, wszystko w pasiece uprzątnąć, aby nie wywołać napadu. Nie trzymać żadnych słabych pni w pasiece, gdyż te nie przezimują, ale łączyć je z innymi, zostawiając dobre matki. Zbyteczne ramki usunąć po wybraniu z nich przez pszczółki zapasów miodu i perchy i puste starannie przechować. Aby je dobrze przechować, należy je ułożyć w odpowiednich skrzyniach i wysiarkować, potem rozwiesić w miejscu dobrze przewiewnym. Nie dopuszczać, aby rabusie myszkowały po pasiece, gdyż to może wywołać napad, a ten może szerzyć się gwałtownie i przyprawić pasiecznika o duże straty.

Należy pamiętać, iż rabunek nigdy nie rozpoczyna się masowy, ale pszczoły wysyłają najprzód pojedyńczych rabusiów, aby ci wybadali gdzie obsada słaba, i gdzie da się popełnić bezkarnie kradzież, a dopiero dobrze wybadawszy, sprowadzają tłumy towarzyszek i nie tylko ze swego pnia, ale i z innych i uderzają gromadnie, zrabowawszy jeden pień, biorą się do drugiego i tak często mogą przyprawić niedbałego pasiecznika o duże straty.

Napad pszczół ktoś porównał do szerzącego się pożaru, który rozpoczyna się maleńką iskrą, a pastwą jego pada cała osada.

Rabusie wynoszą miód, śrutują woszczyznę i zagryzają miejscową pszczołę, tak, iż ta wreszcie zaczyna się łączyć z rabusiami i sama zaczyna swój pień rabować i przenosić zapasy miodu do innego. W ulu zrabowanym pozostają tylko okruchy plastrów, pomieszane z trupami pszczół.

Aby do tego nie dopuścić, należy nie trzymać bezmatków i pni słabych, jako najwięcej narażonych na napad, lecz je zaraz usunąć przez łączenie z innym pniem. Nie zostawiać żadnych zmiotków okruchów wosku lub pustych ramek koło pnia, aby nie ośmielać rabusiów i nie dawać powodu do rabunku.

Przy podkarmianiu pszczół zachować wszelkie ostrożności, gdyż wtedy rabuś najwięcej myszkuje po pasiece.

Gdy się spostrzeże niepokój na oczku, należy oczko natychmiast zwęzić, a gdy to nie pomaga, pień rabowany zupełnie zamknąć, a nawet usunąć z pasieki. Zamknięte pszczoły puszczać do oblotu późnym wieczorem. Można też w dużej pasiece wychwytać rabusiów do próżnego ula, wywieść o kilka kilometrów od pasieki i tam nimi słaby pień podsypać, a rabusie zapomną przeszłego złego czynu i staną się jeszcze uczciwemi członkami pszczelego społeczeństwa.

Jan Matysik.

KRONIKA.

Od Administracji. Z powodu licznych zażaleń, przysyłanych nam na posłańców gminnych i roznosicieli, jakoteż i na samych wójtów niektórych gmin, Administracja „Roli“, załączając te zażalenia, wniosła swoje pismo do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, z prośbą o zapobieganie nadużyciom, jakie się dzieją przez zatrzymywanie „Roli“, niszczenie numerów oraz pobieranie opłat przy doręczaniu.

W odpowiedzi na to nasze zażalenie otrzymaliśmy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przez województwo krakowskie, następującą odpowiedź:

Województwo Krakowskie.

L. Sm. 7184/ex 1927. Kraków, 27 lipca 1927.

Administracja „Roli“

w Krakowie

do wiadomości na tamtejsze pismo do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 25. 6. 1927.

Za Wojewodę

Wykowski.

Odpis.

Krakowski Urząd Wojewódzki.

L. Sm. 7184/27. Kraków, dnia 27 lipca 1927.

Wydawnictwo tygodnika „Rola“

zażalenie na doręczanie pism

i opłaty.

Do

Wydziałów (Tymczasowych Zarządów) powiatowych na terenie Województwa krakowskiego.

Ze strony wydawnictw czasopism kolportowanych w gminach wiejskich podnoszą się zarzuty na nader nieregularne doręczania tych czasopism przez posłańców gminnych, oraz na uciążliwe opłaty za doręczanie, dochodzące często do wysokości samej prenumeraty.

Jakkolwiek zgodnie z art. 27 ust. 1-szy ustawy o tymcz. ureg. fin. kom. z dnia 11/8 1923 Dz. u. Nr. 94, poz. 747, gminy wiejskie mogą pobierać opłaty za czynności organów gminnych, to jednak ze względu na doniosłość zadań, jakie prasa ma do spełnienia na wsi, wskazane byłoby oznaczenie tych opłat za doręczanie książek i czasopism w stawkach niskich, lub zupełne zwolnienie od opłat tych przesyłek.

Równocześnie należy wezwać gminy do dopilnowania regularnego na przyszłość doręczania przesyłek.

Za Wojewodę:

Wykowski w. r.

Podając wszystkim interesowanym powyższe rozporządzenie do wiadomości, prosimy wszystkich tych posłańców gminnych, roznosicieli, jakoteż samych naczelników gmin, aby zaniechali krzywdzenia naszych Prenumeratorów przez pobieranie za doręczanie wysokich opłat, wyczytywanie, a przytem niszczenie i opóźnianie doręczenia „Roli“.

Jeżeli jakie zażalenia otrzymamy, skierujemy je do odnośnego Starostwa i powołamy się na rozporządzenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w następstwie czego może nastąpić grzywna dla danego naczelnika gminy, odpowiadającego także i za posłańca gminnego.

(S. N.) **Wstrząsający wypadek** zdarzył się w d. 10 sierpnia. Oto po nawalnej ulewie wezbrała woda na rzece Wisłok tuż pod Czudcem płynącej. Około południa przewoźnik przewoził wraz z córką wracającego z pola parobka swojego. Nadeszła również kilkunastoletnia dziewczyna z Wyżnego, idąca do Czudca. Fale wzbierającego Wisłoka uderzyły w jadący prom tak silnie, że przewróciły go do góry dnem i zerwały linę, a czworo osób znajdujących się na promię, poniosło śmierć w nurtach spienionej rzeki. Zwłok dotąd nie znaleziono.

Może ten wstrząsający wypadek wpłynie na urządzenie lepszej komunikacji między obydwoma brzegami Wisłoka, znajdującej od czasu wybuchu wojny w opłakanym stanie.

Nagrodzona uczciwość. Z pobytu członków amerykańskiej wycieczki weteranów polskich w Warszawie zanotowano następującą przygodę: Udekorowany orderem Krzyża odrodzenia Polski p. Adamkiewicz z Chicago, wychodząc w południe z hotelu Europejskiego, gdzie zajmował kwaterę w pokoju Nr 146, zapomniał pod poduszką portfel z pieniądzmi, zawierający 3000 dolarów w gotówce. Powróciwszy po 2 godzinach do hotelu, nie znalazł pieniędzy. Szukając jednak w dalszym ciągu po pokoju, stwierdził, że portfel znajduje się w największym porządku w szafce nocnej. Okazało się, że pieniądze te znalazła numerowa Żółtowska, która zarabiała miesięcznie w hotelu 60 zł., a resztę dochodów miała zależnie od dobrej woli gości.

— Ile kosztuje w Warszawie ładna i w najlepszym gatunku suknia? — zapytał p. Adamkiewicz.

Numerowa po namyśle wymieniła kwotę i otrzymała ją natychmiast w dolarach, jako nagrodę. Wypadek ten obudził wśród członków wycieczki wielkie wrażenie i komentarze na temat niezwykłej uczciwości numerowej.

Śmierć za krótkie włosy. Z Tomaszowa Mazowieckiego donoszą nam o tragicznym wypadku zamordowania Fajgi Gotlieb, jednej z najpiękniejszych dziewcząt Tomaszowa Mazowieckiego. Ośmnastoletnia Fajga, od pół roku toczyła z ojcem swoim Baruchem walkę o krótką fryzurę. Ojciec groził córce, że jeśli ostrzyże włosy, to ją wydziedziczy i zamorduje. Dziewczyna nie przejmowała się zbytnio pogróżkami ojca, poszła do fryzjera i ucięła włosy. Gdy wróciła do domu, Baruch Gotlieb wpadł w szał i zaczął okładać córkę grubym kijem po głowie. Interwencja sąsiadów okazała się spóźniona, bo pobita dziewczyna doznała wstrząsu mózgu i w kilka godzin po wypadku zmarła. Baruch Gotlieb sam udał się na posterunek policji i oskarżył siebie o zamordowanie córki. Zbyt srogiego ojca oddano do dyspozycji władz sądowych.

Dziecko za pieniądze. Sąd budapeszteński rozpatrywał w tych dniach niezwykłą w dziejach sądownictwa sprawę. Pewien młody robotnik fabryki Manfredy Weiss był już od kilku lat żonaty. Pożycie małżeńskie młodej pary nic nie pozostawiało by do życzenia, gdyby nie to, że młodzi ludzie byli bezdzietni. — Zwłaszcza małżonek bardzo z tego powodu cierpiał. — Przed niedawnym jednak czasem los uśmiechnął się młodemu robotnikowi, bo oto pewnego dnia żona obdarowała go potomkiem. Szczęście młodego robotnika nie trwało jednak zbyt długo, gdyż ku wielkiemu jego zdziwieniu dzieckiem zaczęła się znienacka interesować policja. Okazało się, że żona, chcąc sprawić radość swemu mężowi, postanowiła... kupić mu dziecko. W tym celu porozumiała się z pewną akuszerką, a ta wystarała się jej o dziecko, którego matka, uboga robotnica, chętnie na tę tranzakcję się zgodziła, gdyż sama żyjąc w wielkiej nędzy, nie mogła dziecka utrzymać. Prokuratorja państwowa, dopatrując się jednak w tranzakcji tej cech pospolitego oszustwa na szkodę młodego małżonka, postawiła wszystkie trzy kobiety, a więc żo-

nę robotnika, akuszerkę i matkę dziecka w stan oskarżenia. Sąd okręgowy w Budapeszcie po rozpatrzeniu oryginalnej tej sprawy, ogłosił wyrok, skazujący żonę robotnika na 10 dni, a akuszerkę na 14 dni więzienia. Oskarżone zgłosiły apelację, a sprawa po kilku dniach znalazła się ponownie na wokandzie sądowej. Dotychczas wszystko szło dość gładko, ale teraz sprawa się nieco skomplikowała. Chodzi bowiem o to, że małżonek oświadczył, że absolutnie nie uważa się za oszukanego, a dlatego prosi, by żonę jego zwolniono, a dziecko, które bardzo pokochał, mu zostawiono, Sąd jednak nie przychylił się do poglądu „oszukanego małżonka" i zatwierdził wyrok pierwszej instancji. Niefortunna „matka" powędrowała do więzienia, a dziecko, które przyniesiono na salę rozpraw jako „corpus delicti", odesłano do przytułku.

Niezwykły wyścig. Anglicy lubią bardzo urządzać rozmaite zabawy i ćwiczenia, grają w rozmaite gatunki piłki od młodości do starości, ścigają się, skaczą przez przeszkody, podnoszą ciężary itp. Świczą się tak dla własnej przyjemności, a od czasu do czasu urządzają publiczne popisy, na które schodzi się mnóstwo ludzi. Każde miasto ma swoje place. otoczone trybunami (takie, jakie można oglądać obecnie i w Krakowie na boiskach, służących do zawodów w piłkę nożną). Publika tłumnie zasiada na ławkach dookoła i z góry przypatruje się, jak na boisku w środku odbywają się gry, wyścigi i t. p. Oprócz zwykłych zabaw, wymyślają czasem coś nowego, aby okazać wprawę, w jakiemś ćwiczeniu, a także urozmaicić je.



Takiem było wyścigowe robienie... placka, które odbyło się niedawno w jednem z miast angielskich. Zrobiono to tak: Ustawiono rzędem młode panny, chcące wyjść zamąż. Wszystkie na dany znak ruszyły pędem z miejsca, pobiegły 100 kroków do długiego stołu, na którym przygotowanych było tyle kupek mąki, ile było panien, koło każdej kupki leżały jaja, mleko i wszystko, co było potrzebne do zrobienia ulubionego w całej Anglji placka, zwanego „puding". Panny, przybiegłszy, zaczęły na gwałt rozrabiać i miesić ciasto, a po skończeniu każda odwracała się od stołu i wracała na swoje pierwsze miejsce. Ta, która przybiegła pierwsza, dostała pierwszą nagrodę, druga drugą i tam dalej. Był to egzamin z biegania prędkiego i z gospodarności. Uciechy i śmiechu było przy tem co niemiara.

W obronie kobiety. Znany w świecie naukowym profesor botaniki Andrzej Laville, zabił swojego sąsiada, ślusarza, Bourdona. Tak podały krótką wiadomość kroniki policyjne paryskie: Dr Laville był przez 10 lat profesorem w Collége de France. Po przejściu na emeryturę zamieszkał w oficynie jednego ze skromnych domów paryskich. Bezpośrednimi sąsiadami profesora było małżeństwo Bourdon. Bourdon upijał się nieustannie do nieprzytomności, a przyszedłszy do domu, wszczynał z żoną awantury, którą bił, lżył w okropny sposób. Kilkakrotnie prof. Laville interweniował w domu ślusarza. Pijak zawsze obiecywał poprawę, żałował swoich czynów, a w rezultacie po kilku tygodniach awantury powtarzały się znowu. Pewnego dnia Laville usłyszał przeraźliwy krzyk żony Bourdona. Nie ulegało wątpliwości, że tym razem pijak w bardziej zwierzęcy sposób znęcał się nad bezbronną kobietą. Prof. Laville postanowił nastraszyć pijaka. Wziął z domu ostry sztylet japoński i postanowił nim zagrozić ślusarzowi. Ślusarz jednak zobaczywszy nóż w ręku profesora, wpadł w większą wściekłość. Rzucił się na Laville'a. Ten zaś w obronie życia, działając instynktownie, uderzył nożem napastnika. Bourdon padł martwy na ziemię. Przerażony profesor oświadczył, że idzie do policji zameldować o swoim czynie. Dwadzieścia cztery godziny błąkał się po przedmieściach Paryża — usiłując popełnić samobójstwo. Następnego dnia rano zjawił się w komisarjacie policji i opisał całe zajście.

W poszukiwaniu przygód. W jednej z kawiarni w Tours grupa gości wszczęła przed kilku dniami wielką awanturę, w czasie której jeden z jej uczestników wydobył rewolwer i zagroził nim przeciwnikowi. Wezwano coprędzej policję, która aresztowała krewkiego gościa oraz pewną młodą, elegancką dziewczynkę, która gorąco występowała w jego obronie. W komisarjacie okazało się, że aresztowany jest Rosjaninem, jego zaś towarzyszka Amerykanką, niejaką miss Harrison. Tak przynajmniej wynikało z paszportu. Ale równocześnie wyszło na jaw, że miss Harrison, jakkolwiek już od trzech miesięcy przebywa we Francji, nigdy i nigdzie nie była jeszcze meldowana.

— Dlaczego pani się nie melduje? — zapytał komisarz.

— Poco? — odparła Amerykanka. — Nie zajmuję się zbieraniem pieczęci urzędowych.

— Myli się pani — wyjaśnił jej urzędnik. — Nie spełniła pani swych obowiązków i do czasu sprawdzenia pani tożsamości muszę panią zatrzymać w areszcie.

Tu stała się rzecz nieoczekiwana. Miss Harrison wpadła w szaloną radość, cieszyła się i skakała jak dziecko.

— Panie komisarzu, — wykrzyknęła — dziękuję panu serdecznie! Coż za wspaniała myśl! Oczywiście, zostanę z przyjemnością!

Policjanci spojrzeli po sobie zdumieni, ale Amerykanka wyjaśniła im niebawem powód swojej radości.

— Widzicie panowie — rzekła — przepadam za przygodami. Poto przecie przyjechałam do Europy... Jakże się cieszę, że przeżyję znowu coś interesującego.

W konsulacie amerykańskim okazało się, że ekscentryczna dziewczyna mówi prawdę i że jest córką W. E. Harrisona, znanego miljardera amerykańskiego.

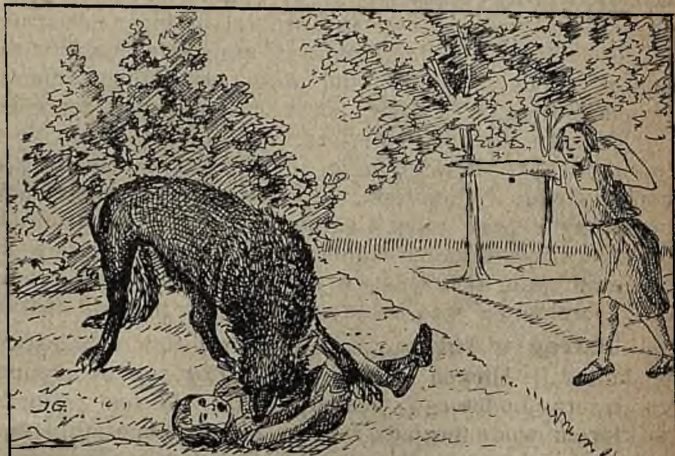
Nowe ozdoby kobiet. Jednem z upiększeń ostatniego czasu, które zmieniają się co miesiąc, są w Paryżu małe złote wężyki, które Paryżanki noszą na szyi i na rękach, dodając jeszcze do sukni podobny wężowy pasek. Oprócz okręcających szyję, wężyków, noszą jeszcze różnych kolorów naszyjniki o kamieniach w kształcie zębów, podobne do tych, jakie przed wiekami nosili nasi praojcowie, ubrani w zwierzęce skóry. Pozatem jeszcze naszyjniki z korali, różnych gatunków i rodzajów, kryjące w największym rodzaju flakonika do perfum lub saszetki, no i perły, które ciągle jeszcze są modne — na dzień długi sznur, lekko związany pośrodku na węzeł — na wieczór parę sznurów (zazwyczaj trzy) o perłach większych i mniejszych z brylantem zapięciu z boku. Przy elektrycznem świetle wyglądają ładnie szerokie branzoletki z brylantów i kolorowych kamieni, tak samo, jak i całe brylantowe torebki.

Chociaż z fałszywych kamieni, to jednak, gdy dobrze wykonane, są zwykle dosyć drogie. Co do wieczorowych torebek, bywają one również z paciorków oraz srebrnej albo złotej skórki, mając kształt zbliżony do kwadratu.

Złodziej miljonów. W tych dniach aresztowano w pobliżu Rimini niejakiego Gaetana Serbiniego, poszukiwanego przez policję w całym świecie od czterech lat. Aresztowano go raczej przypadkowo. Dramatyczne są natomiast przejścia rabusia po obrabowaniu banku. Serbini był w czasie wojny światowej podporucznikiem na froncie, potem objął miejsce kasjera w medjolańskim banku „Banca Popolare". Zniknął stąd pewnego dnia, zabierając z sobą 4 i pół miljona lirów i odtąd nie widziano go nigdzie, podczas gdy jego towarzysza de Vincetiego ujęto niedawno w Egipcie. Przed miesiącem wynajęła młoda para małżeńska w pewnem miasteczku koło Rimin dwa pokoje z kuchnią na sezon kąpielowy. Małżeństwo to — Nino i Tina — żyło zdala od ludzi, lecz to właśnie wzbudziło podejrzenia. Przedewszystkiem zauważono, że mąż wychodzi tylko raz dziennie, a zwłaszcza do rodziców żony, i że przytem stosuje zawsze środki ostrożności. Jedynym luksusem, na który pozwalali sobie małżonkowie, był dobry wikt, czasami wycieczka samochodem i co dziwne jedyna tylko kąpiel w morzu. Policja stała się podejrzliwa, kiedy zaś nadeszła sekretna wiadomość, że Serbini musi się znajdować gdzie w pobliżu Rimini — aresztowano dziwną parę. Serbini, on to był bowiem wypierał się początkowo wszystkiego, później jednak złożył zeznania, które brzmią niby prawdziwy romans kryminalny. Na wstępie oświadczył, że Tina, jego rzekoma żona nie wiedziała o niczem, że poznał ją w sklepie tytoniowym, gdzie sprzedawała tytoń, że poszła za nim z miłości, nie wiedząc o tem, że pieniądze pochodzą z kradzieży. W dniu 12 października 1923 r. skradł je w południe z kasy swego banku za namową niejakiego Scarpy, któremi Serbini przypisuje wszystkie swoje nieszczęścia. Serbini nie jest zbyt przygnębiony, tem więcej, że z milijonów nie pozostał mu już ani jeden centim.

Tragedja amerykańskiego bogacza. Pisma amerykańskie opowiadają o dziwnej historji, która wygląda na jedną z fantastycznych nowel Edgara Allana Poego. Przed kilku dniami zjawił się w pewnym hotelu w Birmingham starszy, elegancki pan i zamówił obfity obiad na pięć osób. Dwóch kelnerów nakryło stół w osobnym gabinecie, czekając z podaniem obiadu na przybycie reszty gości. Lecz starszy pan dał polecenie natychmiastowego podania obiadu i zajął miejsce przy stole. Kelnerzy, aczkolwiek bardzo zdumieni, spełnili jego życzenie. Podawali jedną potrawę za drugą, a niesamowity gość, nakładał z półmiska potrawy na każdy talerz, poczem kazał je nienaruszone zabierać z powrotem. Po ostatniem daniu gość powstał, zapłacił rachunek i opuścił restaurację. Kelnerzy opowiedzieli o tem zajściu kierownikowi zakładu, lecz ten nie okazał bynajmniej najmniejszego zdziwienia. Znał bowiem dobrze tego dziwnego gościa, który co roku, tego samego dnia przychodził do hotelu i zamawiał stale obiad na pięć osób. Znał również historję jego życia. Oryginalny starzec nazywa się Paul Evander. Przed czterdziestu ośmiu laty opuścił swą żonę i troje dzieci, z któremi mieszkał w Seattle i wyemigrował do Klondyke, gdzie poszukiwał złota. Pierwotnie zamierzał pozostać tam tylko kilka tygodni. Tygodnie przeciągnęły się w miesiące, a miesiące w lata. Evander nie miał powodzenia i nie natrafił na złoto. Gdy już chciał zaprzestać dalszych, bezowocnych poszukiwań i powrócić do domu, natrafił niespodziewanie na żyłę złota, która zapewniła mu ogromny majątek. Uradowany pośpieszył do najbliższego urzędu telegraficznego i wysłał do domu następującą depeszę: Wreszcie jesteśmy bogaci. Za dwa miesiące powrócę do domu. Evander dotrzymał słowa. Lecz gdy przybył do Seattle, zastał dom opustoszały i nikt nie mógł go objaśnić, gdzie rodzina jego przebywa. Nikt nie znał już nawet jego rodziny. Evander rozpoczął poszukiwania po całym kraju, lecz nadaremnie. W rocznicę swego wyjazdu do Klondyke przybył do Birmingham. Udał się tam do najlepszej restauracji i zamówił obiad na pięć osób, t. j. dla siebie, dla swej zaginionej żony i dzieci. I od tej pory co roku to samo się powtarzało.

Walka z wilkiem. Na przedmieściu Nowego Jorku, w New Jersey, znajduje się wielka menażerja, w której można podziwiać piękne okazy lwów, nosorożców, tygrysów, lampartów i innych drapieżnych zwierząt. Ostatnio zdarzył się w pobliżu menażerji okropny wypadek, który wywarł silne wrażenie na mieszkańcach New Jersey. W menażerji znajdował się wspaniały okaz wilka australijskiego, z którym służba miała najwięcej kłopotów. Było to zwierzę nadzwyczaj podstępne i drapieżnością przewyższało najniebezpieczniejszych pensjonarzy menażerji. Służba menażeryjna nazywała wilka „czarnym djabłem" i bała się go jak ognia. Wskutek niezachowania koniecznych ostrożności, wilk wydostał się z klatki i siejąc przerażenie dokoła siebie, wybiegł z menażerji. W pobliskim ogrodzie bawił się wówczas mały synek właściciela menażerji. Wilk rzucił się na dziecko, powalił je i zagłębił kły w jego ciele. W powietrzu rozległ się bolesny krzyk dziecka. Na alarm nadbiegła niańka, która, przeczuwając jakieś niezwykłe niebezpieczeństwo, uzbroiła się w browning. Straszna scena, którą spostrzegła, sparaliżowała ją na chwilę. Zwierzę wżerało się w ciało biednego dziecka. Niańka nie mogła strzelać do wilka, obawiając się zranić dziecko. Nie tracąc jednak przytomności, podbiegła bliżej i potężnem uderzeniem kolbą browninga ogłuszyła na chwilę potwora. Następnie chwyciwszy ociekające krwią dziecko, rzuciła się do ucieczki. Zaledwie przebiegła kilkanaście kroków, wilk rzucił się za nią w pogoń.



W tej chwili nadbiegł właściciel menażerji i ojciec rannego dziecka p. Holton. Na nieszczęście nie posiadał broni palnej, tylko zwykły nóż ogrodniczy. Między bestją i ojcem rozegrała się straszna walka, która zakończyłaby się śmiercią bohaterskiego p. Holtona. gdyby nie pomoc służby menażeryjnej. W kilka chwil potwór został zabity. Pana Holton i jego synka przewieziono do szpitala.

Jak przedłużyć życie ludzkie? Człowiek mógłby przeciętnie żyć dziesięć lat dłużej aniżeli żyje obe-

cnie — powiada lekarz waszyngtoński Dr Charles Maye — gdyby w młodości poświęcał więcej uwagi swojej osobie. Jeszcze przed rokiem 1844 przeciętny wiek ludzki wynosił lat czterdzieści. Obecnie przeciętnym wiekiem jest rok pięćdziesiąty i piąty. Sprawiła to większa troska o ciało. Trzeba tylko wiedzieć, który rok jest najniebezpieczniejszy i najważniejszy, kiedy człowiek najwięcej wystrzegać się powinien popełnienia błędów hygienicznych. Tym niebezpiecznym wiekiem jest dla dziewczyny pora między 12 a 16 rokiem życia. Dla mężczyzn najważniejszym jest wiek od lat 50—55. Wielu mężczyzn umiera w tym czasie skutkiem otyłości, na którą zrazu nie zwracali uwagi. Później wyzbycie się otyłości jest połączone z niebezpieczeństwami i powinno odbywać się pomału, a jedynym i najpewniejszym lekarstwem na otyłość jest zmniejszenie ilości potraw spożywanych, choćby tylko w pewne dni tygodnia. Dwie trzecie ludzi w wieku podeszłym zawdzięczają swój wiek wielkiej odporności ciała, co jest rzeczą dziedziczną. Dlatego byłoby dobrze dla dzieci, gdyby mogły rodziców sobie wybierać. Atoli wielu z tych, których rodzice nie dożyli wieku późnego, mogą żyć długo, jeżeli dbają o zdrowie. Wielu z tych, których rodzice żyli długo, umiera wcześnie skutkiem nadużywania alkoholów, czy to w formie piwa, wódki, czy wina. Dr Maye sądzi, że obecnie więcej widoków długiego życia mają ludzie w mieście niż na wsi. gdzie o wyrunki zdrowia nikt nie dba i brak jest oświaty. Zdaje się, Dr Maye zapomina, że w Europie po wojnie takie panują stosunki, iż rodzice w mieście chociaż wiedzą, co dziecku może wyjść na zdrowie, nie mogą mu tego dać, bo nie mają pieniędzy. Dr Maye stwierdza, że na ośmiu ludzi umierających umiera jeden na wadę serca, na siedmiu jeden z powodu raka, na sześciu jeden skutkiem porażenia. Powinno się raz do roku zarządzić oględziny wszystkich ludzi, aby te choroby mogły być zawczasu stwierdzone i leczone.

W oczekiwaniu Mesjasza. W Australji czyni niebywałe postępy nowa sekta religijna, której biskupem ogłosił się słynny okultysta Leadbeater. Sekta licząca już dzisiaj niezliczonych wyznawców, wierzy, że w najbliższym czasie objawi się nowy Zbawiciel. W tym celu za składki, płynące z całego świata, budują w Australji, w porcie miasta Sydnej olbrzymi amfiteatr. Każdy z dających składkę, będzie miał prawo do jednego miejsca w amfiteatrze, w którym poraz pierwszy oczom wiernych ukaże się nowy Mesjasz. Sekta liczy wielu zwolenników po całym świecie. W Paryżu należy do niej książę Gwido Lubomirski, który w swym apartamencie prywatnym przy ulicy Campagne Remicze w dzielnicy Montparnasse urządził kaplicę, gdzie odbywają się codziennie rano nabożeństwa dla członków nowej religji. Cały ceremonjał wzorowany jest na liturgice katolickiej.

Pstrąg w futrze. Zapalony miłośnik rybołóstwa, p. James H. Hicken udał się na połów ryb do słynnego jeziora Lodowego (Iceberg Lake). W tem jeziorze, w którem woda posiada bardzo niską temperaturę, natura zabezpieczyła ryby przed zimnem w bardzo oryginalny sposób. Pewien rzadki okaz pstrąga pokryty jest zupełnie puszystem futrem, które chroni go przed śmiercią. Panu James H. Hicken udało się właśnie złowić pstrąga w futrze. Skoro szczęśliwy sportowiec wyciągnął go na brzeg i z zaciekawieniem przyglądał się rzadkiemu okazowi ryby, nagle stała się rzecz dziwna — ryba eksplodowała. Jak się potem okazało futro pstrąga przystosowane do zimnych głębin Jeziora Lodowego nie mogło wytrzymać zbyt gwałtownej zmiany temperatury w ciepłem powietrzu i pękło.

RZECZY CIEKAWE.

Dzikie dzieci.

Od czasu do czasu dochodzą nas ciekawe wieści ze Wschodu zazwyczaj o dzieciach, porywanych w Indjach przez wilki, a które potem wilczyca karmi jak swoje małe. W ostatnich dniach znowu znaleziono w pełnym lesie na wyspie Ceylon dzikie zupełnie dziecko, wychowane przez wilki. Nie jest to wypadek odosobniony, w rocznikach bowiem ubiegłych wieków spotykamy się z całym szeregiem podobnych historyj.

I tak pewien podróżnik przytacza kilka bardzo ciekawych wypadków. Działo się to w 1544 r. w pobliżu Wassel w Prusach. Całe gromady zgłodniałych wilków krążyły dookoła wsi. Zaalarmowani mieszkańcy urządzili na nie wyprawę. Ze zdziwieniem spostrzegli jednak pomiędzy nimi jakieś cudaczne stworzenie, które udało im się wreszcie pojmać i zaprowadzić do zamku landgrafa. Znalazłszy się na sali, schowało się ono pod ławę i zaczęło wyć jak prawdziwe zwierzę. Okazało się, iż był to zdegenerowany człowiek. Zaczęto go ułaskawiać i powoli kształcić tak, że odzyskał on nawet mowę. Opowiadał potem, że żył z wilkami, które obchodziły się z nim bardzo łagodnie, zachowując dlań najlepsze kawałki zdobyczy. To zwierzę-człowiek było następnie pokazywane na dworze landgrafa von Hesse i nieraz, opowiadając swe nadzwyczajne przygody, żałowało chwil spędzonych pomiędzy wilkami.

Za panowania Karola IX schwytano w lesie Compiegne, we Francji, młodego człowieka, obrośniętego gęstym włosem, który biegał na czterech „łapach" prędzej jak koń, a mającego wyraz zupełnie dziki. Później już oswojony opowiadał, że polował razem z wilkami, dusząc psy, a kiedy nadarzyła się sposobność, atakował i ludzi.

W 1694 r. znaleziono w lasach litewskich dziecko, wychowane przez niedźwiedzie, które potem przez długie lata pokazywano na dworze króla angielskiego. Podobny wypadek zdarzył się także w wysokich górach Czech, gdzie w jaskini żyła młoda, ładna dzika dziewczyna, która nawet oswojona zajadała niemal wyłącznie surowe mięso i korę drzew.

Ostatni wypadek, jaki nam opowiada ów podróżnik, miał miejsce już XVIII w. W okolicach Chalons-sur-Marne, we Francji, mieszkańcy wsi Songi z przerażeniem widywali, od czasu do czasu, jakieś dziwne stworzenie, zbliżające się do ich domostw, które brali za djabła. Kilkakrotnie ścigane, kryło się ono w sąsiednim lesie. Aż razu jednego złapano je: była to młoda dziewczynka, uzbrojona w bat, którym władała z taką siłą, iż z łatwością ubiła nim, puszczonego na nią psa. Dziecko to przygarnięte, rozwijało się szybko, ale przez długi czas nie mogło w zupełności zapanować nad swoimi dzikimi instynktami. Ulubioną jego zabawką była gonitwa po parku zamku Sugi, łapanie w biegu zajęcy, lub królików i pochłanianie ich żywcem. Czasami znowuż, dawała nurka i powracała, trzymając w rękach ryby, a niekiedy w zębach węgorza. Dziką tę dziewczynkę przezwano „Le Blanc". Wędrowała ona potem z klasztoru do klasztoru, ale egzystencja jej została właściwie nienormalną, gdyż była ona zupełnie wykolejona. Dostała się wreszcie do Paryża do sióstr Saint-Marceau, gdzie, według jej wskazówek, opisano jej nadzwyczajne życie. Miała ona należeć do jednego z plemion Eskimosów. Dzieckiem porwali ją handlarze niewolników i sprzedali w kolonjach. Jej nowi właściciell przywieźli ją do

Francji. Na skutek jednak złego traktowania uciekła ona do lasów ardeńskich, potem do Szampanji, gdzie żyła jak dzikie zwierzę.

Jak widzimy nie brak tego rodzaju opowieści.

Tajemnice Afryki.

Wnętrze Afryki kryje jeszcze dużo tajemnic, które interesują świat nauki i pociągają natury awanturnicze, żądne niezwykłych przygód. Szczególniej ostatnie liczne ekspedycje w głąb Czarnego Lądu, aby zbadać wielkie przestrzenie stepów, pustyń lub dziewiczych puszcz podzwrotnikowych, ich wspaniałą roślinność i zwierzostan oraz, aby zapoznać się ze zwyczajami pierwotnych plemion afrykańskich.

Z pośród całego szeregu podobnych przedsięwzięć naukowych, wybija się ostatnio na pierwsze miejsce wielka amerykańska wyprawa naukowa, która w ciągu dłuższego czasu ma przeprowadzić studja w głębi Czarnego Lądu. Wyprawę naukową finansuje kilka uniwersytetów amerykańskich. Ekspedycja zaopatrzona jest bogato w szereg najrozmaitszych narzędzi, które umożliwią jaknajdokładniejsze studja naukowe.

Ostatnio wyprawy w głąb Afryki stały się jeszcze bardziej niebezpieczne, niż dotychczas. Zjawisko to wywołane jest przez niesłychany wzrost nienawiści do Europejczyków oraz dążeniem ludów afrykańskich do uwolnienia się z pod władzy białych, co ze szczególną siłą daje się zauważyć od wojny europejskiej. Podczas znanej rewizji w sowieckiem przedstawicielstwie handlowem w Londynie znaleziono również papiery, które wskazują, że pieniądze sowieckie odgrywają dużą rolę przy podniecaniu nienawiści ludów afrykańskich do Europejczyków.

Nawet największe jednak niebezpieczeństwa nie powstrzymują uczonych od wypraw w głąb Czarnego Lądu dla badania tamtejszych roślinności i świata zwierzęcego.

W środkowej Afryce znajduje się pewien gatunek drzewa, które krajowcy nazywają „drzewem śmierci".

Ma ono tak silny zapach, że człowiek, który uśnie w jego cieniu, wpada w omdlenie i najczęściej umiera. Opowiadania krajowców o niezwykłych właściwościach drzewa uważano przez długi czas za bajkę, niedawno jednak przekonano się o ich prawdziwości.

Angielski podróżnik, Aleksander Cleve, usnąwszy przypadkowo pod niebezpiecznem drzewem okrytem trującemi kwiatami, wpadł w omdlenie i tylko dzięki energicznemu ratunkowi nie przypłacił życiem tej przygody. W związku z tem zorganizowano ekspedycję, która ma zbadać trujące własności kwiatów drzewa śmierci i rozstrzygnąć czy nie da się ich zużytkować dla celów naukowych.

Mordercze działanie zapachu tych kwiatów najlepiej charakteryzuje zwyczaj przyjęty od dawien dawna przez krajowców, że miejsce, na którem drzewo stoi, jest zarazem miejscem egzekucji skazańców.

Skazaniec przywiązany zostaje mocnymi sznurami do pnia i po pewnym czasie umiera, zatruty morderczym zapachem kwiatów tego drzewa.

Jedna z ekspedycyj naukowych, badająca specjalnie zwierzostan afrykański i złożona jedynie z uczonych zoologów i świetnych myśliwych, natrafiła w górnym biegu Nilu na kolosalny okaz hipopotama. Nie szczędzono wielkich trudów, aby upolować wspaniałe zwierzę, które miało być najcenniejszą zdobyczą naukową ekspedycji. Kiedy jednak udało się już śmiertelnie zranić zwierzę, rzuciło się ono ostatkami sił na głębię i zniknęło pod powierzchnią wody. Nic nie pomogły wszelkie wysiłki, aby kolosa wydobyć. Zdawało się już niemal, że wspaniały okaz, upolowany z narażeniem życia, zostanie stracony na zawsze. Postanowiono jeszcze spróbować ostatniego środka. Za pomocą radjotelegrafu wezwano w górę Nilu specjalny parowiec-węglarkę, zaopatrzony w wielki żóraw do ładowania węgla. Dopiero przy pomocy tego żórawia udało się kolosalnego hipopotama wydobyć z wody. Potężne zwierzę ważyło blisko 45 centnarów i miało długości około 5 metrów.

Najpopularniejsze imiona.

Jeden z statystyków zadał sobie trud zebrania danych statystycznych, dotyczących najwięcej popularnych wśród ludu polskiego imion:

Stanisław 20 procent, Józef 14 procent, Jan 12 procent, Franciszek 11 procent, Władysław 8 procent, Ignacy 7.5 procent, Stefan 4 procent, Walenty, Antoni Michał 3 procent, Kazimierz i Feliks 2.5 procent, Maciej $2^1/_4$ procent, Bronisław, Jakób, Leon, Wincenty, Wacław 1 procent, Paweł, Edward, Seweryn, Wojciech, Roman, Czesław, Zygmunt $^1/_2$ procent.

Wśród kobiet prym dzierży: Marja 33 procent, za nią idzie Stanisława 9 procent, Antonina 8 procent, Jadwiga 7.5 procent, Katarzyna i Józefa 7 procent, Helena 6 procent, Cecylja, Michalina i Władysława 3 procent, Magdalena, Agnieszka i Aniela 2 procent, Pelagja, Elżbieta, Zofja, Teresa, Balbina 1 procent.

Wrażenia wisielca.

Artur Macdonald, znany w Ameryce profesor medycyny ogłosił w naukowych pismach wezwanie do lekarzy, aby przeprowadzili drobiazgowe badania ostatnich chwil życia swych pacjentów. Wiadomości o wrażeniach przedśmiertnych zawdzięczamy jedynie uratowanym samobójcom i ułaskawionym skazańcom. Prof. Macdonald opowiada o pewnym cyrkowcu, który codzień pozwalał się wieszać na szubienicy i zawsze wychodził cało, dzięki specjalnym instrumentom, wprowadzonym do gardła i nosa. Pewnego wieczoru zaniedbał zwykłych zabiegów. Szczęściem w ostatniej chwili pomocnicy odcięli go od stryczka. Zapytywany, jakich wrażeń doświadczył, odpowiedział, że uczuł lekki ucisk na gardle, poczem stracił przytomność. Okazuje się, że wszelka śmierć nagła jest prawie bezbolesna, gdyż zanim nerwy doniosą do świadomości wrażenie bólu, ośrodek mózgowy zamiera. Wogóle na 50.000 wypadków tylko w dwu mamy do czynienia ze „śmiercią naturalną", t. j. wynikającą ze starczego zużycia się organizmu. Większość ludzi umiera od nieszczęśliwych wypadków, do których należy zaliczyć i choroby.

Zapachy miast.

Każde większe środowisko ludzkie, szczególnie miejskie, posiada swój zapach. Wiedzą o tem dobrze biura wielkich miast, specjalnie poświęcone badaniu tych zapachów i stosujące odpowiednie środki, zmierzające do oczyszczenia powietrza.

Z miast wielkich Paryż, mający ogromny ruch samochodów, pachnie benzyną przedewszystkiem. O Londynie mówi się, że czuć tam głównie węgiel i siarkę. Petersburg czuć dojmującym zapachem starej skóry, stanowiącym zresztą „narodowy" zapach rosyjski. Po Wenecji unoszą się zapachy charakterystyczne dla kanałów. Rzym znowu bardzo silnie pachnie serem, Tanger — choć jest to miasto arcybrudne, czuć drzewem.

Najpiękniej w całym świecie pachnie Sewilla (Hiszpanja), bo tam zapach kwiatu pomarańczowego jest tak silny, że panuje nad wszystkiem.

Człowiek normalny.

Harry Hollingworth, profesor uniwersytetu w Kolumbji, postanowił dokonać opisu człowieka normalnego, to jest takiego, jakim powinienby być każdy przeciętny człowiek. W tym celu przeprowadził profesor sam, i z pomocą zagranicznych kolegów badania nad 93 tysiącami osób, przedstawicieli wszystkich ras i narodów ziemi. Rezultaty są następujące: Człowiek przeciętny osiąga wiek lat 53. Waży dokładnie 150 funtów amerykańskich. Mierzy 167 centymetrów. Waga jego mózgu nie przenosi 1300 gramów, podczas, gdy mózg wielu genjuszów ważył koło dwu kilo. Zasób słów, których używa, waha się między 7 a 8 tysiącami wyrazów. Potrafi on dokładnie określić różnicę między królem a prezydentem republiki, ale zawaha się, gdy mu każą powiedzieć, jaka jest różnica między rewolucją a ewolucją. Przeciętny człowiek mówi tylko jednym językiem. Jego poziom umysłowy odpowiada poziomowi czternastoletniego ucznia. Żeni się młodo i jest zwykle ojcem trojga do pięciorga dzieci. Jego dochód roczny wynosi 900 do tysiąca dolarów.

Doszedłszy ów profesor na podstawie owych badań, jakiego człowieka można nazwać normalnym, obliczył dalej, że na miljard siedmset miljonów ludzi na świecie jest tylko 40 tysięcy ludzi normalnych, czyli, że na 42.500 przypada jeden człowiek taki, jakiby być powinien.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 16 sierpnia b. r.

Pszenica .	48·00—49·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	40·00—41·00	Ziemniaki stoł.	11·00—12·00
Owies . .	31·00—32·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	00·00—00·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	67·00—68·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	24·50—25·00
Koniczyna .	12·00—14·00	Pęcak zwycz.	65·00—66·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Władysław Bulek** z O.: Szarady otrzymaliśmy, skorzystamy. — **Szymo nZając** w B.: Myśl bardzo dobra, gotowiśmy ją wprowadzić w czyn, prosimy tylko o początek. — **„Yoga"** w K.: Dobre, chętnie skorzystamy. — **Władysław Marko** w K.: Szarady otrzymaliśmy, dobre.— **Piotr Wenc** w Ś.: Dalszy ciąg otrzymaliśmy, dziękujemy. — **Wawrzyniec Miesiączek** w Z.: „Modlitwa lasu" będzie w jednym z najbliższych numerów. A możeby coś na konkurs? — **Kazimierz Nalepa** w Z.: Za tak życzliwe słowa uznania serdecznie dziękujemy. Z raz obranej drogi nie zejdziemy, gdyż wiemy, że wszelkie plitykwanie psu na buty się nie zda. — **Franciszek Wójcik** z W.: Do końca roku brakuje jeszcze 3.40 i do kwartału I-go 1 zł. Kalendarze tak jak w roku ubiegłym będziemy mieli. Za nowego prenumeratora dzięki. Cześć! — **Stefanja Kaczorówna:** Zagadki trzeba rozwiązywać wszystkie; do rozwiązania zagadki muszą być nadesłane z rozwiązaniem. — **Tokarz T.** w B.: Z zagadki skorzystamy nieco później. Za zalecanie „Roli" dziękujemy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Fl. Ciebiera).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rodzaje tkaniny
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Niedorzeczność
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto w Polsce
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Urzędnik
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rozmowa
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Ciało niebieskie
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Równokąt
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Era
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Bóg perski
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Prości, dobrodusznі
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Człowiek zobojętniały
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Powierzch. br. ziemsk.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Zasada
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Czworobok podłużny
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rozważanie
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Wspak rozrywkj.

Litery początkowe, czytane z góry na dół, a końcowe, czytane z dołu do góry, ten sam tytuł znany czytelnikom „Roli".

2. Szarady.

(Ułożył Jan Patulski z S.).

I.

Pierwsza wspak to wielka ryba
Drugiej trzeciej w kuchni trzeba
Czwarta pół trzeciej w Afryce rzeka
Żyją w niej głazy straszne dla człeka
Całość mąż stann przyznać musimy
Że uratował kraj od ruiny.

II.

Druga pierwsza dopływ Wisły
Druga trzecia skutki wojny
Druga pierwsza wspak to człowiek
Dziś w Palestynie osiadły
Całość za pokarm i napoje
Chętnie oddaje futro swoje.

3. Zagadki.

(Ułożył Wł. Reichel)

I.

Wprost sportowcy w zimie wżywają,
Wspak lekarze chorym polecają

II.

Czy wprost czy wspak czytamy
Prosze ziółka mamy.

4. Łamigłówka literowa.

K . . k . .
L . . l . .
P . . . . ń
Ł . c .
Ł . d .
W . . n .
T . . . o . o .
S . . . . w . w
B . a . . . . . o .
W . . . . . . w .
N o . . o . . . . . .
T . . . . ń
L w . .
K . e . . e
K . . o . . . . .

W miejsce kropek wstawić litery, tak by powstały nazwy miast.

Czem różnią się te miasta od innych polskich?



Termin nadsyłania rozwiązań upływa 27 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 32 „Roli": 1. Logogryf: Marszałek Polski Józef Piłsudski. 2. Szarady: Kowalczyk, motyka. 3. Zagadki: mina, rzeka Wieprz, litera n. 4. Przestawianka:

Jest to niechybnie ratunkiem dla człeka,
Gdy na nieszczęście spokojnie nie czeka,
Lecz przeciw niemu podąża z nadzieją,
Że czarne chmury przed nim się rozwieją.

Dobre rozwiązanie zagadek w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Wyrobek z J., Wanada Niemcówna z W., Wawrzyniec Scholtz z Szcz., Stanisław Czaja z Szcz., Jan Patulski z S., Piotr Wenc z Ś., Flrojan Ciebiera z Rz., Jan Dubiś z K., Jan Szilder z Ł., Władysław Marko z K., „Yoga" z K.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Dubiś z Kopytkowej i Stanisław Czaja z Szczurowej.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**

W drukarni «Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Zdarzenie prawdziwe.

Ksiądz poucza dzieci, co to jest bojaźń Boża. Namęczywszy się z jakie dwie godziny, nabył nareszcie pewności, że dzieci go zrozumiały. — Na następnej lekcji, pewien swego, pyta się chłopców:

— Co jest bojaźń Boża?

Ogólne milczenie. Ksiądz wyrywa chłopca:

— No, Walek, co jest bojaźń Boża?

Chłopiec milczy, jak mur.

— No, powiedz mi — odzywa się ksiądz zrozpaczony — kogo masz się bać?

— Żandarma i byka! — odpowiada pojętny Walek.



Chytry król.

Pewnemu wieśniakowi francuskiemu urodził się kiedyś tak olbrzymi burak, że postanowił podarować go królowi Ludwikowi XI. Ten nie należał, coprawda, do rzędu rozrzutnych, lecz lubił czasami uszczęśliwiać maluczkich. To też kazał kmiotkowi wypłacić z własnej szkatuły 100 talarów.

Dowiedział się o tym pewien bardzo bogaty a jednocześnie skąpy szlachcic i pomyślał sobie, że zrobi bardzo dobrze, jeśli podaruje królowi pięknego konia ze swych stajen. Bo jeśli — rozumował tak ów szlachcic — król za jakiś tam burak dał sto talarów, to cóż za fortunę da mu za ślicznego konia.

To powiedziawszy, wybrał najpiękniejszego bieguna ze wszystkich jakie posiadał, zaprowadził go do króla i prosił, by ten łaskawie raczył go przyjąć. Król odrazu się domyślił, co to pobudziło tak osławionego skąbca do zrobienia tego podarunku, powiedział więc do szlachcica:

— Dobrze, przyjmuję pańskiego konia. Ponieważ jednak, pragnę odwzajemnić się panu za tak cenny dar, dam panu coś takiego, co kosztowało conajmniej dwa razy tyle, co ten koń.

Skąpiec omal nie dostał bzika z radości. Król zaś, ledwo wypowiedział te słowa, sięgnął po ów olbrzymi burak i podał go zmieszanemu, ledwo mogącemu ustać na nogach szlachcicowi. Można sobie wyobrazić jego nieprawdopodobne zdziwienie.



Cap i dyrektor banku.

Jaka jest różnica między capem a dyrektorem banbu?

— Nie wiem.

— Cap sam trafia do kozy, a dyrektora banku trzeba tam prowadzić.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Ześ to czytał w naszej Roli.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

OKŁADKI NA „ROLĘ“ twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli“. Wysyłka następować będzie partjami po 25 sztuk.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.